

ZDROJ



Drutygodnik ilustrowany
poświęcony Sztuce i Kulturze

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

Przedstawicielstwo redakcyi na AUSTRO-WĘGRY: PROF. JAKÓB GESZWIND, WIEDEN, (Hauptstr. 147).

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek
Zeszyt pojedynczy 3 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczy się bez czytania. — — —
Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

poleca

W. SCHULTZ W POZNANIU

Nowa ul. 8., w Bazarze.

Tel. 1484.

Rok założ. 1873.



„Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia
1873

W Poznaniu

Rok założenia
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia
na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na
posag z rewizją lekarską i bez rewizji

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie
— od spłaty składek i płatność renty —

Niskie składki

wzrastające dywidendy

dogodne warunki

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się
i w czasie wojny

Siedziba dyrekcyi w Poznaniu
w własnym gmachu św. Marcina 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31
Agencje specjalne w każdym większym mieście.



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierskie.

Pożyczki na przystępnych i dogodnych warunkach.

Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacja kapitałów.

Rachunki czekowe z wielkimi dogodnościami dla wpłat i wypłat.

Udziały członków przynosiły 8 procent dywidendy.

Wkładki i oszczędności oprocentowuje od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Inowrocław (Hobcowicza).

ZDRÓJ

ROK 2
MARZEC1918
ZESZYT 5DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE
I KULTURZE UMYŚLOWEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Poeta a świat — Stanisław Przybyszewski (przyczytno Jerzy Hulewicz). Z „Ułamków filozoficznych” — Juliusz Słowacki. U poetów — Miriam (przyczytno Orsza). Opowieść rybalt (powieść — C. D.) — Wacław Berent. Genenda (DOK.) — Marya Bunikiewiczowa. Muzyka w Polacie po Chopinie (C. D.) Adam Chybiński. Listy literackie — Jan Lorentowicz. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyt — Jerzy Hulewicz. Wieża Babel (drzeworyt) — Stanisław Kubicki.

POETA A ŚWIAT.

TWÓRCA I „ON”.

(W odpowiedzi na list otwarty do W. Gomulickiego).



Właściwie powiedziałem już wszystko w moich „Obra-
chunkach”, coby mogło starczyć za moją odpowiedź na
„ankietę”, wywołaną przez list otwarty Wiktora Gomulickiego o „krzyżowaniu” twórców polskich, ale posta-
wienie kwestyi przez Redakcję „Zdroju”, by odpowiedzieć
na konkretne pytanie: „Jaki stosunek zachodzi pomiędzy
„Poetą a światem”, zniewala mnie, by jak najjaśniej się
w tej sprawie wypowiedzieć — uważam to ponieważ za
mój obowiązek, bo swego czasu mocno się przyczyniłem
do głębokiego nieporozumienia pomiędzy społeczeństwem,
a twórcą.

Niezaadługo dwadzieścia lat dobiegnie, kiedy w mojem
„Confiteor” w „Życiu”, (1-go stycznia 1899 r.) ciskałem spo-
łeczeństwu w twarz w młodzieńczej, zbyt brawurowej bucie
wzgardliwe nazwisko: „Mydlarz!”

25 czerwca 1917 ukazał się w „Dzienniku Poznańskim” mój artykuł w od-
powiedzi dr. Moraczewskiemu z tem pokornem wyznaniem wiary, w którym mię-
dzy innymi ten ustęp się znajduje:

„Piszący te słowa nie odwołuje ani jednego słowa z swego „Confiteor”,
żałuje tylko gorąco, że zamiast wołać: „Mydlarz!”, nie był na tyle dojrzałym, by
stać na stanowisku prospektu „Zdroju” i chętnemu posłuchu społeczeństwu
nie wytłumaczyć fatalnego nieporozumienia, jakie między niem a twór-
cą istnieje, wywołanego w głównej części złą wolą, nieuctwem, lub też śle-
pą namiętnością ludzi, którzy społeczeństwo o sztuce informują.”

Kiedym te słowa pisał, nie znałem jeszcze istotnie wspaniałego powiedzenia
Remy de Gourmonta, które wyczytałem w odpowiedzi redakcyi „Zdroju” na py-
tanie o „zdrową sztukę”, a które byłoby moje rzucenie rękawicy całkiem w inną
stronę zwróciło — nie na oślep społeczeństwu, które Bogu ducha winno, ale

tym, którzy mu się na prowodyrów narzucają — tym, którzy nic nie rozumieją, ani rozumieć nie chcą, tym, jak Rémy de Gourmont mówi, którzy dumni są z swego „niezrozumienia i z łachmanów frazesowych, któremi odziewają swą nagość duchową, jak inni ze swego talentu i idei.“

Kwestja przedstawia się zatem inaczej:

Nie „poeta, a świat“, ale „poeta, a ten „On“, jak go redakcja „Zdroju“ nazywa — ten przepotężny „ON“, „który nic nie rozumie, nie jest wrażliwym ani na muzykę, ani na logikę, i głuchy jest, ale nie niemy, bo gdziekolwiek się znajdzie, wrzeszczy w niebogłosy: „Ja nie rozumiem!“

A zdolność tego haniebnego „liberum veto“ daje mu ogólne poważanie.

„Społeczeństwu — by przytoczyć to, com w „Dzienniku Poznańskim“ pisał — które wyczekiwało spokojnych, rzeczowych wyjaśnień, które było gotowe, przyjmując nawet najśmielsze wyznanie wiary, byleby tylko jasno było wytłomaczone, już nie uprzejmie, ale z głęboką, nie wyzywającą powagą uzasadnione, cisnęło się wtedy zuchwałe wyzwanie, i to nieporozumienie pomściło się:

W tej samej chwili zjawili się ci, którzy społeczeństwu, głęboko zawstydzonemu, że czegoś nie rozumie, dodali pewnością siebie odwagi: „Patrzcież ja mam odwagę nic nie rozumieć — czegoż wy się wstydzicie?!”

„Jacyście Wy naiwni! Macie przecież do czynienia z megalomaniacznym obłędem: to, co czytacie, to stek niezrozumiałych słów, to, co słyszycie, to infernalna kakofonia, to co widzicie, to majak chorych oczu — idźcie zatem spokojnie do domów Waszych i cieszcie się, żeście się nie pozwolili na manowce zaprowadzić!“

Publiczność przysłuchuje się z zapartym oddechem tej mowie, która całkiem do jego rozumu przemawia.

Publiczność nie zajmuje się sztuką — ma ona tylko głuchą tęsknotę za sztuką, ma pragnienie zrozumienia tych objawień w niejasnem przeczuciu, że one są zarówno objawieniem własnej swej duszy, ale nie jest w stanie sama o własnych siłach o jej wartości rozstrzygać. Nie śmie. Publiczność jest nieśmiała i pokorna. Czasami jedno słowo wystarczyłoby, by obudzić w niej jak najgłębsze zainteresowanie — ba! nawet entuzjazm dla jakiegoś tworu — rozumie wszystko, nie rozumiejąc, bo niedowierza sobie i szuka bezradnie wokoło tego „powołanego“, któryby mógł jej rzeczy przeczute jasno uświadomić.

Zwracają się do artysty, ale ten się hermetycznie od publiczności oddziela jakimś hierofantycznym „odi profanum vulgus et arceo“, spogląda więc na siebie bezradnie, a wreszcie zirytowana udaje się po poradę do wszechwiedzącego znachora, by ten jej rzecz całą wytłomaczył.

Taki znachor-krytyk — wie wszystko: nie miał nigdy pędzla w ręku, a jednakowoż poprawia z zdumiewającą pewnością obrazy malarzom, wytyka im błędy, które są najwyższemi zaletami, sławi i ponad wszystko stawia te szczegóły, których malarz się wstydzi — sypie przytem jak z rękawa taką obfitością wiedzy filozoficznej, socjologicznej, Bóg wie jakich prawideł estetycznych, że publiczność oszołomiona zapomina już całkiem o obrazie, podziwia tylko znajomość dat, galerij, obcowanie z uznaniami już wielkościami, a przede wszystkim sprawność niezawodzącą, z jaką artysta każdy w odpowiednią szufladkę wepchnięty być może.

Znachor ten leczy doszczętnie publiczność z tęsknoty za sztuką.

Pokazuje mu szafeczkę z tysiącami przegródek, a na każdej przegródce napisany jakiś „i z m“.

W przeciągu trzydziestu lat przeżyłem następujące „izmy“: Idealizm, Realizm, Naturalizm, Veryzm, Solipsizm, Symbolizm, Impresjonizm, Neo-Impresjonizm, Secesjonizm, Satanizm, Neo-Romantyzm, Dekadentyzm, Kubizm, Futuryzm, Ekspresjonizm i wreszcie Eternizm!

To jeszcze mało!

Między tymi zasadniczymi „izmami” są jeszcze tysiączne odcienia według zasady mieszaniny kolorów: kolory złożone, lub podwójne, ponieważ można ułożyć fioletowy z czerwonego i niebieskiego, a więc: „naga dusza”, złączona z „satanizmem” i orgią płciową, czyli priapizmem — zielony z żółtego i niebieskiego, a więc prerafaelityczna lubieżność, kąpiąca się w czystości Nazareńczyków: Klimt ożeniony z Maeterlinckiem, Corneliusz i Overbeck niosący mjrę i kadzidło Courbetowi, lub Delacroix — pomarańczowy z żółtego i czerwonego: niby Jacek Malczewski z Boeklinem, Wyspiański, lub Słiwiński z Gauguinem po jednej stronie, a z drugiej Ryszard Strauss z Archipenko wyfikujący pospół wspólnego kankana.

Och! co za błazeństwo! Co za potworna „Tour Eiffel” głupota taka właśnie, jaką ją może najszczerzy z tak zwanych „ekspresjonistów” Delaunay namalował: waląca się w wszystkich spoidłach i wiązadłach pod ciężarem tego potworna „Wszech” mądrości i zrozumienia i zgłębnienia — i NIEOMYLNOSCI!

Publiczność teraz głęboko oddycha — teraz już wyzwolona: zrozumiała wszystko. Cóż ją teraz sztuka obchodzi? Szczęśliwa jest, że to dzieło może wepchnąć w szufladkę „symbolizmu”, tamto zaś „secesjonizmu”, ono zaś „kubizmu” — stała się tak mądrą, jak jej znachor — wie już teraz, przed czym plackiem padać, z czego się wyśmiewać, co kadzidłem obwonić, a co błotem obrzucić.

Bo przy tem oglądzie sztuki dał znachor przede wszystkim receptę z drogowotności i pożytku.

Utajoną tęsknotę za Sztuką w publiczności, tęsknotę, połączoną z pewnym wysiłkiem duchowym, precz się wyżenienia, a publiczność mimo wszelkich immanentnych pragnień jest leniwa — i teraz uszczęśliwiona, że wysiłek ten oszczędzony jej został, cieszy się, że autorytet znachora - krytyka potwierdził jej lenistwo ducha, z którego przed chwilą jeszcze, już — już ofiarę uczynić chciała.

I teraz dopiero staje się ta skromna publiczność, nieśmiele wyczekująca, aż przyjdzie ktoś, który pomoże jej zorjentować się w dziele sztuki, do którego jeszcze nie jest z natury rzeczy dostatecznie przygotowana, butną, oporną i wyzywającą.

Ten ON, przysięgły krytyk sztuki, profesor literatury, w każdym razie jakiś „biegły” rzeczoznawca poetykietował już wszystkie utwory sztuki — przyczem go nic ani sztuka, ani publiczność nie obchodzi. Jemu jedynie na tem zależy, by popisać się swoją polihisteryczną, doszczętnie bałamutną wiedzą, encyklopedycznym odczytaniem: umysł jego jest jak jakaś monachijska „tendlernia”, lub słynny „Auer - Dult” w Monachium, na którym wszystko można dostać: i zbroję rycerską, zaginiony sztych Dürera, litografię Daumiera, jakiś szal indyjski, szkice Brandta lub Kowskiego zarówno z najnaiwniejszymi próbkami współczesnego futurizmu. Umysł ten, przeładowany mnóstwem nieprzetrawionych, doszczętnie wypaczonych wiadomości, ogłuszany wiecznie huczącymi dzwonami, tylko nie wiadomo z jakich kościołów biją, jest jednakowoż obdarzony dziwnie silną, bezczelną pewnością siebie i tem tak niesłychanie publiczności imponuje, jak każde szalbierstwo.

To nie tłum krzyżował Chrystusa, ale ten ON — ten arcykapłan, który rzucił hasło: Ukrzyżuj go! I takż w sztuce: nie publiczność krzyżuje artystów, ale ci pośrednicy między publicznością, a artystami: nieuczciwi maklerzy!

Oni, jedynie oni temu winni!

Ten On, który siedzi przy wszechmocnem biurku prasy codziennej, a częstokroć stoi na wyżynie katedry, albo na ambonie, wartościuje dzieła sztuki z tem większą pewnością siebie, im mniej ma o sztuce wyobrażenia, sieje piorunami, ciska kłatwy, przyczem największe miernoty pod niebo wywyższa.

Zresztą na co długie wywody:

Silniej i mocniej nie możnaby wyrazić wzajemnego stosunku twórcy do znachora - doktrynera, a każdy znachor jest doktrynerem (to jego moc i potęga, oślepiająca publiczność), jak to uczynił Adam Mickiewicz w swoich prostych, a świętych słowach:



Jerzy Hulewicz — drzeworyt.

„Nie można podnieść się wyżej, nie opuściwszy szczybla niższego, albo nie będąc gwałtem z niego wyrwanym. Wszystko, co zwiastuje przyszłość, odrywa nas od przeszłości; i dla tego każda prawda rodzi się w bólu, każda prawda zadaje ból; dla tego każda prawda nie żyje i nie utrzymuje się inaczej, jak tylko pracą, która także jest bólem i cierpieniem.“

Tak przemawia twórca wprost i bezpośrednio do publiczności.

Ale publiczność nie rozumie tych słów, szuka wyjaśnienia u znachora - doktrynera.

Przejrzał go Mickiewicz:

„Doktryner jest to człowiek, który chce skazać prawdę na bezpłodność, bo chce nas uwolnić od wszelkiej pracy. Skoro się czujemy światobliwi i dumni z osiągnięcia jakiejś prawdy, doktryna zaraz przychodzi nam mówić: nie macie potrzeby pracować więcej, zdobyliście już wszystko.“

A wielka moc tkwi w „doktrynie“: „doktryna łatwo się przyjmuje, bo nie naraża ducha na żaden koszt.“

Publiczność nie wie, że niema w dziedzinie sztuki moralnych, lub niemoralnych utworów, tylko dobre, lub liche, publiczność nie wie, że niema zdrowej lub chorej sztuki, zrozumiałej lub nie niezrozumiałej, bo istotna sztuka, jako najwyższy wyraz twórczej indywidualności, jest właśnie tylko sztuką i niczem więcej, ani chora, ani zdrowa, ani ciemną ni jasną: na te kategorie rozdziela ją dopiero On, dumny z swego nieuctwa i swej tępości — On — zaciekle doktryner, który nie jest w stanie, ani nie chce zrozumieć, że sztuka bezustannie tworzy nowe wartości, że z każdą chwilą rozszerza coraz to dalsze horyzonty dla wrażliwości artystycznej, zdobywa w ciężkim trudzie jedną piędź po drugiej w tym bezkresnym a tajemniczym obszarze, jakim jest ta nieodkryta jeszcze „terra nuova“ duszy ludzkiej. Ale, aby tego dokonać, musi artysta niszczyć i burzyć stare, w doktrynie zastęgle formy, musi wszystkimi siłami wyciągać leniwą duszę ludzką z wygodnych pieleszy domowych, wytapiać ją z obrzydłego sadła, w które tak chętnie porasta, musi rozrywać kajdany przyzwyczajenia, niweczyć wściekły terror ustalonych już dogmatów.

Ale ON bije się w piersi i wtedy ucieka się do niezawodnego środka. U nas w Polsce przedstawia współczesne „zwyrodnienie“ wielkości naszej Trójcy Wieszczów.

„Wielki pisarz i najznakomitszy w całej Europie współczesny krytyk“, jak go prasa konserwatywna i kościelna nazywa, Stanisław hr. Tarnowski woła w świętem oburzeniu przy okazji rozbioru twórczości Kasprowicza, Wyspiańskiego i Przybyszewskiego:

„Ktoby chciał zmierzyć kierunek tej ewolucji i oznaczyć jej wysokość, niechby postawił obok siebie i porównał te nowe postacie poetów z dawnymi. Tam trójca wielkich i tu trzech: tam Mickiewicz, Słowacki, Krasiński — tu Kasprowicz, Wyspiański, Przybyszewski. Ewolucja? Tak! Ale różnica straszna, w treści, w formie, w umysłach, w talentach, w duszach. Każą nam wierzyć, że to odrodzenie poezji! Nie! to raczej jej z wyrodnieniem!“

I publiczność, która już na własną rękę chciała zrozumieć tę całą nowoczesną ewolucję, ciekawie ją się nowym kształtom i nowej formie przyglądać, cofnęła się przerażona, bo ON zawyrokował, że to wszystko jest zwyrodnieniem, dekadencją, satanizmem, anarchią!

Zakłęcie wielkich duchów poskutkowało — przynajmniej na razie, bo jednakowoż na dłuższą metę tajemny, prawdy szukający instynkt tłumu oszukać się nie da — ale na razie starczy, by poetę krzyżować.

Ale jak z jednej strony ciężka wina za „krzyżowanie“ poetów spada na tych znachorów-doktrynerów — tak z drugiej niemniejszą winę i odpowiedzialność za swoje cierpienia ponoszą artyści sami.

Ci, z tych lub owych względów cieszący się łaskami onego srogięgo Hierofanty krytyki, siedzą cichutko na grzecznie wyznaczonych im stołcach i baczą pilnie, by ich jakieś piorunujące spojrzenie Tyrana z nich nie zważyło, sarkają wprawdzie między sobą, ale pocichutku, — inni zaś, przerażeni gromowładnemi klątwy, idą na służbę albo kościółu urzędowego, lub też zapisują się czempredzej do tej partii politycznej, do której ON przynależy, — inni zaś cieszą się w duchu wskutek konkurencyjnej zawiści i mrugają do siebie: „A to mu się dostało!“ i tak znajduje się on wyklęty ojciec zadżumionych swoich dzieciątek pod ścisłą kwarantanną i może spokojnie z głodu zemrzeć, o ile nie był przezornym w wyborze swych rodziców, co szczególnie na dobre wyszło Słowackiemu, który inaczej nawet mocą potęgi swego geniuszu, nie byłby uniknął stokroć razy gorszego jeszcze losu, jaki miotał takim olbrzymim dębem, jakim był Norwid.

Brak choćby najmniejszej solidarności, poczucia jakiejkolwiek łączności, bratniej przynależności do tego samego cechu — („cech“ w świętem i tajemnem znaczeniu średniowiecza) — pozatem doszczętne niezrozumienie posłannictwa swego, że twórca, według przepięknych słów Stefana Stasiaka, w którym z radością witam jeden z najtęższych talentów współczesnej poezji, jest „brzuszczem bożego palca, gniotącego dalej glinę życia,“ sprawiło to, że byle jaki chłystek zasiadający przy redakcyjnym biurku wpływowego jakiegoś dziennika może orzekać o wartości dzieła twórcy i rozstrzygać o zewnętrznych losach artysty.

„Gлина зыма ся, же ей не дадзю спаць,“ oczywiście! — ale dałaby się ugnieść, gdyby rozumiała, że taki dopust Boży, by w coraz to nowych kształtach, w nowej piękności się odradzała. Ale artysta, „ipse deus, philosophus et omnia“ milczy, a znachor szepce jej: „nie pozwól się budzić, dosyć już jesteś strudzoną!“

I glina nie pozwala się dalej miętosić.

Ale czas już streścić się:

Kto winien?

Zaprawdę nie ten biedny, tumaniony, ogłupiany kozioł ofiarny: publiczność — ta Bogu ducha winna, ani też jej za złe brać nie można, że od tych wszystkich „izmów“ staje się jej w głowie, „so dumm, als ginge dort ein Mühlrad herum“ i znękana jest najszczęśliwszą, jeżeli może spokojnie spać — winien jest

nieuczciwy pośrednik, podstępny „makler“, ten przepotężny ON o miedzianem czole i o mózgu, różniącym się od ptasiego — chytrą przebiegłością i znajomością psychiki tłumu, a winien przede wszystkim twórca sam, który króluje na niedostępnych wyżynach, gardzi nizinami, otacza się niedostępnym majestatem samotni — last not least — łachmanami nędzy.

Zrzuć z siebie, dostojny Twórcu, koronę nietykalnych blasków, zstąp w niziny i zmierz się oko w oko z Twoim odwiecznym wrogiem. Pierzchnie przed Tobą, gdy z gorącą miłością obejmiesz ten tłum, na który niedawno z pogardą spoglądałeś, gdy raczysz raz wreszcie bez pomocy nieuczciwego maklera do niego przemówić.

Twórz, jak chcesz i jakimikolwiek bądź środkami — bo wszystkie są dobre, jeżeli są w stanie oddać to, co istotnie i szczerze i jak najgłębiej w swej duszy odczuwasz, pisz zawiłe i ciemno, jeżeli dusza Twa łamie się, by głębiej Twego uczucia wyrazić, pisz zagadkami, hieroglifami, wewnętrznym pismem klinowem, jeżeli nie jesteś inaczej w stanie rozsadzającego Cię rozmachu uczuć wypowiedzieć — wszystko jedno: miłość Twa będzie kluczem dla rozwiązania tych zagadek, kagańcem, którym rozświetlisz najgłębsze ciemności.

Wszelka prawda może być niejasną i zawiłą w formie, w której Twą sztukę obleciesz, ale stanie się jasną gdy ją własnym wykładem nauki objaśnisz.

Zejdź Twórcu w niziny i tłumacz łaknącej zrozumienia publiczności laurową ciemność Norwida, tłumacz jej przepastne tajemnice „Genezis z Ducha“ i „Króla Ducha“ Słowackiego. Nie lekaj się ośmieszenia: tłumacz własne swe dzieła, o ile one nieprzepaką siłą z tajemnych źródeł Twojej duszy wybuchnęły, złacz się w braterskim zrzeszeniu z wszystkimi Twoimi braćmi po piórze, czy też pędzlu lub dłucie, albo z plemieniem Jubala, który to wszelkie „naczynie muzyczne“ wynalazł, a wtedy staniesz się potęgą.

„Iść między lud!“, to hasło, które się poraz pierwszy o moje ucho odbiło, gdym miał lat piętnaście, dziś dopiero mi się w całej potędze piękności i ofiarności uświadomiło. Iść między lud, to znaczy: carom korony z głów zdmuchiwać, a cóż dopiero Temu, który bije się w piersi i krzyczy: „Nic nie rozumiem!“

Tylko temu ludowi nie trzeba nad uchem wykrzykiwać: „Mydlarze“ — za prawdę nie ma większych „mydlarzy“ jak całe szeregi tych, których świat mianem „artystów“ szkaluje — trzeba lud ten objąć miłością i szeptać mu do ucha: Dziecię błogosławionego szczęścia, Ty pragniesz światła, tylko cię od niego piekielne wrota Twojego Tyrana odgradzają — ja Ci szparkę otworzę —, pragniesz zgłębienia tajemnic, ja Ci rąbek odchyłę, bom sam niemocem kotary odsłonić — zgłębiając własne tajemnice duszy, coraz więcej i jaśniej odsłania mi się Twoja, zawierz mi: nie do pożytku Cię prowadzę, boś Ty bogata; — każda, najwięcej maluczka dusza jest bogatą, bo od Boga się wywodzi, i do niego powraca —, nie potrzebuję Ci obiecywać zdrowia — bo tylko zgnili pragną zdrowia, a Tyś zdrową, bo nieświadomie pijesz z czystego źródła wiecznego słowa, ale zstąp zemną do onych ciemnic, które Cię straszono, „piekłem“ je zowiąc: okaże Ci się bezkresem Twojej duszy, której zaledwie maleńką cząsteczką żyjesz.“

I widzę go rozpostartego szeroko na swoim tronie — Kogo? Kleona — Pankracego — Wodza Ludu — Cudotwórczego „Znachora“, który wiję się z śmiechu:

„Patrzcież go opętanego maniaka! Słyszycie jego obłądne bredzenie? — białej gorączki dostał!“

I cała rzesza, wokół skupiona, ryknęła wielkim śmiechem.

A wśród tego śmiechu, szyderczego rozgwaru stutysięcznego tłumu posyłałem nagle jakiś cichy, ale mocny głos:

„Zaiste prawdę on mówi!”

I obróciła się moja strokana i smutna dusza w tę stronę, z której on głos mnie doleciał, obróciła się z wielką miłością — ale nikogo nie ujrzała — może to przyszłość do mnie przemówiła?!

Monachium w lutym 1918.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.



Z „UŁAMKÓW FILOZOFICZNYCH.“

Każda rewolucja, nim w ciele zjawiona, musi wprzód objawić się w duchu. Największa więc przemiana świata i czyn najwyższy, poprzedzon być powinien przez rewolucję wiedzy ludzkiej, przez postawienie na pewnych prawach uczucia ludzkiego, które to oboje dziś było pod zarządem opinii lub instynktu.

Z słów tych, że wszystko przez ducha i dla ducha zostało stworzone — a nic dla cielesnego celu nie istnieje — wyjdzie przyszły twórczy lud Boży — przewodnik narodów i prawodawca.

JULIUSZ SŁOWACKI.

U POETÓW

Z „PIĘTNASTU PIOSNEK.”

MAURYCJ MAETERLINCK.

VI.

Ostrzeżono mnie
 (Dziecię, jak mi strach!),
 Ostrzeżono mnie,
 Że w świat jechać chce...

Z lampą w ręku szłam
 (Dziecię, jak mi strach!),
 Z lampą w ręku szłam
 Tam, gdzie on był sam...

A u trzecich drzwi
 (Dziecię, jak mi strach!),
 A u trzecich drzwi
 Światło zgasło mi...

A u pierwszych drzwi
 (Dziecię, jak mi strach!),
 A u pierwszych drzwi
 Płomień dziwnie drgnął...
 A u drugich drzwi
 (Dziecię, jak mi strach!),
 A u drugich drzwi
 Płomień mówić jął...

PIOSNKA WIELKANOCNA.

STUART MERRILL.

Dusza ma cała w rozdzwonie,
 W ptaszęcych świągotach cała!
 Widzę, jak w cichem wód tonie
 Gwiazd bliskich ulewa pała.

Dusza ma pełna jest kwiecica
 I kościelnego śpiewania!
 Łez niepamiętny, w zaświecica
 Rój dzieciąt błonem się stania.

Anioły w duszy mej pieją,
 Porywów chór wielogłosy!
 Nad skrytą stodołę nadzieją,
 Słyszę, jak trudzą się Losy.

Dusza radością aż broczy,
 Dusza ma pełna jest bogów!
 Miłości, zawiąż mi oczy
 I wiedz mię do swoich progów!

FANTAZJA.

GÉRARD DE NERVAL.

Jest melodia, za którą zawsze oddam chętnie
 Całego Rossiniego, Mozarta, Webera,
 Melodia bardzo stara, smętna w każdym tętnie,
 Która na mnie jednego dziwny czar wywiera.

Ilekróć ją postyszę, dusza się odmładza
 O lat dwieście... Tak... tak jest, to Ludwik trzynasty...
 I zda mi się, że widzę (taka czaru władza!)
 Stok zielony, od blasków zachodu graniasty.

Widzę zamek ceglany, o węglach z kamienia,
 O malownych witrażach co krwawo się palą,
 W okolu wielkich parków. Stopy mu opienia
 Rzeka, co pośród kwiatów szmerną płynie falą.

Widzę, w oknie wysokim, panią czarnooką,
 Jasnowłosą, w szat dawnych barwistej ozdobie,
 Którą, w jakimś przedzyciu, w przeszłości głęboko,
 Jużem widział!... i którą przypominam sobie...

WYZNANIE.

VILLIERS DE L'ISLE ADAM.

*Straciłem dal, i borów cienie,
I świeży czar wiosennych dni...
Daj ust: ich wonne, chłodne tchnienie
Będzie mi jako lasu tchy.*

*Straciłem smętność mórz surową,
Rozgwar ich ech i jęków żal;
Mów mi, co chcesz: twe każde słowo
To będzie wielki poszum fal.*

*W ciężkiej królewskich trosk koronie
Me czoło śni słońc pierzchłych wir...
Oh! na swem bladym skryj mnie łonie!
To będzie wielki nocy mir!*

PRZEBUDZENIE.

*O ty, przed którą dziwu-m słup,
Znam więc zagadkę twej otchłani!
Jakibądź uścisk dobry-ć, Pani:
Przechodzień; złoto: gotów słub.*

*Ty kochasz tak, jak człowiek mści się;
Kłamiesz w rozkosznych krzykach żądz,
I lubujesz się, niebo lżąc,
W igraszkach próżnych, zły iblisie.*

*W uścisku twym, przewrotnym, czczym,
Jeśli-m pił jad wasz, o blekoły,
Ty, czarowniczy zwidzie złoty,
Bądź zapomniana w dniach twych zim!*

SPOTKANIE.

*Czarna pochodnia twa się skrzy;
Myślisz, żeś dla mnie jeszcze żywa;
Wykułem pewne krat ogniwa,
Na wiek zawarłem grobu drzwi.*

*Nie wiem, jakiej to zar udręki
W twym zbójczym łonie jeszcze drga;
Nięchaj kto inny o to dba:
Przez ciebie szydę wszak z jutrzeńki.*

*Wierzysz w powrotnych szafów mus?
W czar niezwalczony w zmysłów błyskach?
A więc — ziewałem w twych uściskach:
Nie wskrzesziesz już dla nowych zgróz.*

MIRIAM.



WACŁAW BERENT.

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA.



eszcze żaki obnoszą lekarza po izbie, gdy psy kuglców, zadrzemane gdzieś po kątach, zerwą się nagle z pod ław i śmigną na schody piwnicy, by tam dopiero wszechząc wielce brzechotliwy gwałt sfory całej. Po chwili ścichną tak nagle i glucho, że aż dziwnem wydało się to w gospodzie. Oto znów są u progu, ale na ogonach przysiadłe. Tylem czołgają się na

brzuchach ku panom swoim, aby — im na ostrzeżenie — zawyć z żałośliwym wyciaganiem łbów.

Kopaniem i przekleństwami uśmierzają kuglce ten niepokój psów swoich, jakby urzeczonych światłem księżycy na dworze.

Nad pochylonemi zagnęta karkami waganików wszystkich, w rdzawym blasku lampy oliwnej, wyświetla się u proga przeogromna zbroica — wielkoluda chyba — wypełniając sobą rozwór wnijścia całej. Srogi ceber hełmu jego sięga nad żebro powały, gdy one karwasze naramienne z litej miedzi obkłem trzymać mu każą ramiona, czyniąc go jakby odętym sierdżście. Upiornego miecza jelece w krzyż dzierży prawica pancerna, gdy z lewa osłania go niemal po szyję pawęż czarna w srebrne ćwieki.

Goliardowi chyba po raz trzeci uderzyło do głowy wypite dziś wino, gdyż porwie się pto z ławy, kilka kroków postąpi i zatoczy się nagle w tył, aż póki się o stół w drugim końcu izby nie oparł.

„Wszelki duch Pana Boga chwali!..” — krzyknie z dłonią przy oczach.

Obskoczą go żonglerzy i poczną rozpytywać gorączkowo, czy tego rycerza spotkał już był gdzie w grodzie: — dziwne bo słuchy krążyły pod wieczór między ludźmi, jakby błakali się dziś po mieście przez nikogo nie poznani...

„Na ulicy złotników i płatnerzy, — odpowie im wreszcie glucho. — Przypomnijcie, panowie, jakem was zaklinał, byśmy tam poszli.”

„Po co?”

„Świat tam wykuwają wyższej piękności i mocy.”

„Więc co z tego?” — żachną się niecierpliwie.

„Oczyrna bodaj odnowiłyby nam w sobie on głód... Bez tego czemże nasza dola wagancka, — mówiłem... A skorośmy nie poszli, przyszło do nas samo.”

„Co?!” — zaszepeczą w popłochu.

„A onóż to.”

„Niby jakie: zło?!”

„O zlu lekarz tu wiele opowiadał. Za złą wymową sumienie następuje nieme... Nie czlece ciało w tej zbroi siedzi.”

„Ee!” — przeraża się ogromnie mimo nieufności.

„Pojrzyjcie: jesteście w ludziach dzisiejszych taka moc i siła? Wyższego to świata nawiedza nas wędrownik.”

Zasapia gromadnie.

„Pouczają mądre żydy, — przypomina jeden z nich z otrząsem zaleknienia, — że nie zgadniesz nigdy, jakie słowo nasze i kiedy ziścić się może nagle w życiu. Któryż to prawół dziś w piekarni o..?”

„Pozdrowienie wolnym!” — zadudni nagle, jak ze studni, z pod zawartej przyłbicy onej zbroi u proga.

Nie przywykli waganicy do tak szanownych pozdrowień. Pokłonią się po raz wtóry głęboko.

„Cześć ci, paniel!”

Żaki poskoczą oporządzać dla niego stół w wysokiej niży pod oknem. Ten rękawem, ten czapą, czyszczą ławę, na której zasiąść miał gość tak znamienny. On tymczasem ruszył było od proga z pochrzestem zbroi i jakby przystękiem pod dźwigany jej ciężarem. Za tą kolumną ze spiżu teraz dopiero ukazał się rycerz drugi. Ten zda się jak to żrebię przy klaczy ciężkiej, — aż poskoczy prawie w gietkości swej koleczugi czarnej pod purpurowym płaszczem... „Lancelotowej zbroi barwy!” — przypominają żonglerzy atrybuty bohaterów swoich.

Zatrzeszczała ława pod tamtym wielkim. Utrudzon snadź jest wielce, bo niebawem ślania się oto i pokłada na niej, wsparty głową o kulak pancerny.

I widzą żonglerzy: —

... przyłbicy cień omracza go aż po piersi; niczem dziób ponury sterczy nanośnik hełmu; broda nurza się w łuskowej naszyjnicy; wpodłuż spoczywa miecz srogi. Zbodły się nogi, shaczyły ostrogami stóp długich. Zasepił się, skobuział cały w zamyśleniu.

Ugła się kolczasta zbroja w gibkość osmętnionego ciała; ślania się głowa w szołomie ciężka: — taka w nim całym zaduma nad człeczą dolą, taka frasobliwość zamierzonego czynu...

I otwierały się żonglerom oczy i gęby, w zdumieniu nad niesamowitą mocą bohaterów — opowiadanych. Iszczą się snadź w życiu osobliwym czarem.

Drugi rycerz tymczasem tyłem przysiadł się do stołu, rozkrzyżował poza sobą ramiona, szeroko rozwał poły purpurowego płaszcza. I tak się wagan-
tom przygląda, jakby każdego z kolei na wagę tu kładł i siły jego obliczał. „Chłopy na schwał!” — zwraca się do towarzysza swego.

I rzuci nagle na izbę gromko i weselnie, jakby ich wszystkich do tańca tu prosił:

„Pójdziecie, chłopcy, bić się — za przewodem naszym?”

Posiada się w izbie cisza długa i uparta.

Rumor nagły rozlega się śród niej na schodach. Ktoś zstępujący potknął się tam w ciemnościach i stoczył o kilka stopni z pomrukiem przekleństw. — Na skrócie ukazuje się fartuch skórzany, broda po pas i ognista gęba płatnerza.

„Hop!” — ocknęło się w nim zuchowato, gdy, całem ciałem uderzywszy o mur, nie poplątał tym razem kroków. „Uch!” — stęknął z rezonem, objając się brzuchem o drugą ścianę. — „Jeśli ja w całości zniosę bebechy do tej jamy... Pódziesz!..” — kopie na wsze strony i opęda się psom. — „Pewnie dno tego piekła niedalekie, skoro już Cerberusy opadają... Beczka, widzę, że sam Bacchus mógłby sięść na nią oklakiem... Jestem na dnie otchłani!”

„Witajcie, włókitowie!” — pozdrawia wagan-
tów, niby wojowników jakichś plemię.

A że ledwie pomrukiem odpowiedzieli jemu, więc zwraca się czempredę do rycerzy:

„Nie kwapia się, widzę, do boju?... Osmętnieli coś bardzo. A jednak, jakem to wam rzekł, panowie, przydatniejszych ochotników nie znajdziecie tu u nas w grodzie. Najlepszy do rozruchu na ulicach hołysz każdy, który bardzo nie lubi ładu w mieście.”

„Piłeś?” — przerwie mu cierpko lekarz z kąta.

Stropił się zrazu płatnerz. Po chwili, głaszcząc z godnością brodę po pas:

„A ty nie piłeś, lekarzu? Bibit rudus, bibit magus; bibit constans, bibit vagus, — jak śpiewa goliard.”

„Żeś ty nie constans, na przykład, po gębie ognistej widać.”

„Nie kłamię ludziom twarzą, jak magowie.”

„To-ć się chwali.”

„A przedsię, włókitowie, bić się dziś będziecie! — powtórzy swoje z uporem. — Byście tylko pomogli tym panom przebić się za mury...”

„A jakże! a jakże!” — wyraża już teraz urągliwe co do siebie powątpiewanie rybałt niejeden, by porwać z pod pieca narzędzie swej igrzy — i dalejże w nogi! Już ich wyprzedzają na schodach z radośnem szczeniem żwawe psy kuglów.

„Daremniej to! — zatrzymuje ich płatnerz. — Już dawno zamknięto bramy, a zbiorów nasadzono na wszystkich ulicach... A za kimkolwiek w grodzie zbiry podszczują, za wami wszak oni najgorliwiej zawsze pogonia! Każdy z was śmierdzi im wolnością i tym złotem rozbestia.”

„Prawda to jest!” — przytakują smętnie.

„Zaś z tą nowiną najpilniejszą właśnie do was przychodzę: — na mieście dom się jakiś zapalił! A wiecie, jaka stąd dla was wróżba, gdy pożar gdzie wyniknie czasu waszej obecności?... Wagan-
tów, czem djabeł w klasztorze: wszystkiemu zawsze winien. Na kimkolwiek w społeczności ludzkiej się miele, na igrecach zawsze się wszystko skupia.”

„I to jest prawda.”

„A niech was te rajce i ławniki na swe sądy dostaną! Niech się zaczną obliczać z wami za swawole dzisiejsze, za swe żonki i córy! Niech poczną dosądzać akuratnie, wedle prawa ksiąg, co po innych grodach źle osądzone było... Jakbym widział niejednego żaka i klerka łeb ogolony do krwawej skóry, te łaty kacerstwa przeniesione z niejednej szaty na czoło żelazem czerwonym... A że w dzień waszego pobytu to i owo zwykło ginąć z kramów i po piekarniach...”

„Będziesz świadczył może?!” — doskoczy do niego z nagłym impetem któryś z rybałtów.

„Boże zachowaj! Dla mnie: niech ci wszystko służy.”

„Zarobione sztuką!”

„Teel.. taką, czy inną sztuką... Naprzykład, ta szkatuła franciszkańskiego kwestarza: owo na waszym stole? Zna ją przecie miasto całe! Albo owa księga pod ścianą — srebrem okuta?... Już biegały mnichy na ratusz, że opatowi benedyktynów zginęła księga kosztowna...”

„Tańczyłeś u benedyktynów?!” — wrzaśnie w tej chwili goliard jakby ze snu nagłe ocknięty.

Az się płatnerz zdziwił, na kogo gniew ten. I obziera się na wsze strony po izbie. — „Niemasz jej tu przecie,” — uspokaja tymczasem goliarda którzyś z żaków.

Inny znów przygląda się smętnie jakowymś ciżemkom i pończoszkom niewieściom dobytym z za-

nadrza. Skoczek bachowy od strojnej pani na rynku zarobił, żak w kości wygrał, — ale nie uwierzą temu na sądach. Powiedzą, że od jakiej radczyni za lubość przy studni dostał i — że żak — odcwizna na goło.

„Masz!” — obdarza tem wszystkim dziewczę u beccki.

„Szukaj głupszej.”

„Bo za malutkie to na stępory twoje: tak gadaj!” — obraził się żak całkiem.

I odrzuca to wszystko gdzieś w kąt, pod ławę. Jakoż opróżniają się w ten sposób sakwy niejedne z rzeczy niebezpiecznych, — jak uważają w tej chwili waganty.

Baczy lekarz na ten ich gorączkowy niepokój; kiwa głową nad płatnerzem:

„Oj, te kowale! duchy rozruchu w każdym mieście najgorsze... Możebyś nam jednak powiedział, jaka to sprawa jest, za którą gardlujesz?”

„Jakto, nie wiecie?! — zdumiał się, rozkładając ramiona. — Gdy całe miasto o idącym rozruchu już pogaduje? I że wy właśnie tej nocy rozpocząć go macie?”

„Ładny kwiat!.. Pokumajże się tu z wagantami i pij potem to piwo, jakie fama dla nich nawarzy. Owo, gdzie się kończy wolność wasza, igrce. Każdy z was jest conajmniej przez pół takim, jakim go chce widzieć fama i ciekawość ludzka.”

„Stawasz się w końcu takim,” — przytwierdził cierpko gadkarz z twarzą gołą i sprośną.

„Nie poradzicie, chłopcy, i tym razem przeciw famie i oszczekiwaniom publiki! Teraz gotówem wierzyć z płatnerzem, że, radzi, nieradzi, bić się dziś będą dzieci, — nie wiedząc nawet dobrze, skąd i co zacząć się ci panowie i dokąd was powiodą... A mistrze to niełada w zamęcaniu rebelii: bo gdy zuchom pośród was „wolnością” pochwlebili od proga, ómno między wami, widzę, ogień rozpalają chłonać, by reszcie pętle desperacji zarzucić na szyję. Tak się zawsze rozruchy wszczynają.”

Wejrzeniem dzików w ostępie wyzierają teraz waganty ku obu rycerzom. Pochwyci dziewczka te ich spojrzenia i, ujawszy się pod boki, natrzasa się nad nimi zdaleka.

„Oj, durneż wy, durnel.. Po tem wszystkim, co dziś na mieście było, nie odgadnąć odrazu, co za jedni są ci panowie!”

Żonglerzy, a za nimi goliard, doskoczą do niej czempredziej, zdaleka już rozpytujać niecierpliwymi gestami. A lekarz wydziwia za nimi, jak to kobieta każde pismo wówczas nosem zwęszy, gdy nasza natura męska wszystko dopiero wyrozumieć musi głową, domacać łapą. A najbardziej niewczesne w życia każdej sprawie są, wiadomo, igrce sztuk wszystkich.

„Bój się Boga, kobieto, — woła ku niej, — zrób tu co, zarządz jakoś, bo...”

„Już ja tu z nimi..! Siadać!” — przytupnie, odpędzając ich od siebie.

Obsiadą posłusznie ławy.

„Wina dam.”

„Dawaj,” — nie uradują się tym razem, lecz westchną.

A że mleczna w przyszłości baba dziewczką była tymczasem, więc bodaj beccki mlekiem pokarmi „to-to,” — jak z uragliwym wobec lekarza gestem obzywa rybalty. A jednak przed rycerzami dybiącymi na tych chłopców zdrowie i życie zastawia jakby sobą „to-to”, bo, pod boki wciąż ujęta, odyma się jak ta kwoka. I rada, bardzo rada widzi, jak jeden za drugim maczają gęby, ciągną wińsko.

„Dobra kobieta!” — sam płatnerz przyznać to musiał.

Nie ochoczo jednak piją tym razem waganty. Z dłonią u czoła siedzą oto nad kuflami markotni bardzo — w tej trosce o się.

Tylko ten właśnie wśród nich, którego dziewczka najbardziej uchronićby chciała, — ledwie wargi umaczał, już rozochocił serce, smętkom przekorne.

„Na toż bo nam przyszło! — wzdycha niby — za sławione bohaterki samemu szyję dać!..”

I — nie wiedzieć, jak i któredy — przemknął się oto gęślarz do rycerza u stołu i, ujawszy w palce to giezło swe brunatne na piersiach, pyta:

„My-ż to, panie, mamy iść na boje? My?! — piszczy cienko.

„Ze mną!” — poklepie go rycerz po ramieniu.

„Ze mną!” — doda mu po raz wtóry otuchy, aż pod uderzeniem tej stalowej łapy przykucał skrzat wąty i przysiadł całkiem u pancernejszy stopy rycerza. Sycząc, rozciera urażone ramie.

„Jużś mnie, panie, zachęcił i skrzepił całkiem. Jeszcze tylko ten oręż swój czempredziej naostrzyć każę (podsuwa mu pod czyjś synyczek), tarczę (pokazuje mu skrzypki) ku lepszej osłonie swej osoby na śpiżę przekuję... Tylko hełmu, hełmu brak mi tymczasem!”

I, poskoczywszy między kamraty, zerwał któregoś z kuglów kaptur dzwinkowy, by w niego się przystroić.

„Miejcież, panowie, bodaj wesołka prawego na to zakrólowanie wasze wśród igrów.”

A powróciwszy ku nim, przerazi się jakby nagle śpiżowym ogromem jego towarzysza na ławie. Tem żawiej przysiadła za chwilę tuż pod jego nogami, które tak nieruchomie zbodły się, szły w zadumie postaci całej. I wspiera czerwony kaptur dzwinko-

wy o stal pancerną tych stóp długich, — a przykład się zarazem do gęśli.

„Bo tak też i króle, — powiada, — tem okrzepiej na tronach siedzą, im gorliwiej płata się u ich nóg rybałt z gęślą, by każdy widział: — czem jest igra przed frasobliwością czynu.“

Lecz płatnierz pochyla się oto nad tym wielkodem na ławie, jakby z troską.

„Przyległo się coś na długo? He?.. Chociażes, panie, chłop duży, uprzedzałem cię jednak, że nad dzisiejsze to moce czelcze dzwiganie zbroi takiej. Aleś się uparł!“

Począł się przerzucać na boki olbrzym nieruchawo, chrobotać zbroją, o mury szczekać jej żelazem. Widać towarzysza jego wraz z płatnierzem podejmują go pod pachy, gęślarz w wesołkowie czapie spycha mozołnie stopy jego z ławy. Postawił go wreszcie na ziemi okrakiem szerokim.

„Tu ci się, panie, żelazo nakolenicy w ciało załamuje nad tydką. Nie dziw, że się ruszać nie możesz. Boli?“

„Broczy, — zauważa towarzysz jego. — I tu, pod pachą. Pod naszyjnicą, na piersi drugiego byś schował; zaś na grzbiecie sińce chyba wygniatają się, widzę, guzami srogimi.“

„Dobry z ciebie krawiec!“ — natrząsa się nad płatnierzem kukła dzwinkowa.

„Nie na niegoż przecie krojono... (Gdzie ten, na którego miarę rzecz pomyślana była!)... Ale to wszystko wnet się tu poprawi i uładzi jak trzeba.“

I odchylając fartuch skórzany dobywa z worka na brzuchu młoty, cęgi, świdry, oraz innych narzędzi garście całe. „Trzymaj!“ — wtyka to wszystko gęślarzowi w ramiona, czyniąc go sobie czeladnikiem na podręczu. — Imał się pracy: rozcina pierścienne spłoty zbroi, wielkie kawały kolczugi tu wyjmując, ówdzie znów za łaty wystawia: u nakolanka odgina blach żelazny, nitom obcęgami łby ucina. Tu rzecz całą na ciepło poprawić zamierza: popędza oto przygodnego czeladnika, by na żużlach komina zagzał mu klubki jakoweś, — a dziewczkę wprzód o miech poorosił.

Ten ledwie zazberkał dzwinkami po izbie, a już kłęczał oto pod dynnikiem. A, że gęślarz, więc i z miecha nawet rytmiczne wraz świsty dobywał. I chwali sobie tę robotę:

„Młodzieńcza bardzo jest twoja sztuka, kowalcu! — że w niecierpliwej gorącości, na sam zapal jeszcze dmuchając, rzecz swoją czyni. A i żywiły dla się

popędza: wiatrom dąć, ogniowi buchać każe! I niczego się nie boi. Obraz piekła z kuźnicy czyni; diabłu bodaj dzieło swe zleci, gdy mu się w części jakowejś twardzi pod ręką, niedość prędko ugina w uformowanie kształtne... A że każda rzecz zdziałana ma w sobie tyle ducha i mocy, ile ich robotnik z duszy swej udzieli, — hej, zakną się chyba one i w tę zbroję — zapalu czarnoksiężstwem! Hej, kiedyż ta zbroja rycerza nie poniesie! Jakich czynów ramieniem jego nie dokona! Jakich zamierzeń szalonych mu nie ziści!... Już, mistrzu, twa „dusza“ w ogniu spłonęła cała.“

„Dawaj! A chyżej, niżli diabeł duszę.“

„Już!“ — ni to z płomieniem w cęgach, ledwie brzęknawszy dzwinkami w poskoku, przypaść doń czeladnik żwawy.

I drugi młot wraz otrzymuje na podtrzymanie za kowadło. Na nity skują teraz pana, na krzepę, na moc, na sierszistość harna! Ni to przecuciem surmy bojowej zagrały wartkie młotów kołaty, — aż gęślarz rozkołysał ucho rytmem muzyki młotowej.

I nie wytrzymał śpiewak: rzucił pieśń w tę gędzbę żelaza:

Temu, — temu panowanie,

Kto za tysiąc — jeden staniał...

Dziwna jest moc igrcowego daru, która za pełnym głosem piersi i duszę swą wraz śle, czucia ludzkie wiąże, by razem z nimi zawibrować — w wielkiej ciszy zasłuchania... „Igrzec: śpiewak prawy,“ — odczuł to płatnierz w gęby nagłem rozchyleniu i opuszczeniu młota; odczuł dumy błyskiem wagnaty wszystkie: „Znaj kamrata!“

Odczuł to nawet i rycerz przy stole, bo oto w płaszczy się zatula, w tem załaknieniu nagłem u wytrysłej krynicy tonów. — Opamiętał się jednak godnością i rzekł uraglowie:

„Zachowaj swą chwałbę dla tych, którzy idą łupić kupców, grody i ziemie. Dla nich to stroją się najskwapliwiej wasze gardła, gęśle i lutnie.“

„Uu, skapieć!“ — wzdrygnęła się pod nim kukła dzwinkowa.

A płatnierz sztydzi jeszcze z niego, że krótki jest pieśni czar, kowalstwo zaś solidniejsze, — więc niech się ima z powrotem młota. Oto pan, którego skuwają, nawet głowy pochylić nie raczył, by go ujrzeć u stóp swoich.

„Biadaż wam, Muzy wszystkie, prócz kowalskiej!“

Jakoż piętrzyła się nad nimi wyniosłe ta zbroica wielka, łekami naramiennych karwaszów jak gdyby na wszystko wzgardliwie odęta. Oni zaś w zatrudnieniu koło tej stopy pancernej i srogiej goleni w że-

lezie, ledwie do nakolenicy tej zbroi głowami sięgają: — i mistrz z siwą brodą po pas, i czeladnik jego w dzwonkowym kapturze wesółka. I gwarzą przy robocie:

„Chybiłeś pieśnią. Nie dzierzstwa dla się szukają panowie tacy.“

„Wiem: a w a n t i u r y.“

„Głupis, błaznie! Wówczas to oni zbroję na się kładą, gdy na świecie nazbyt się już rozzuchwiliło to tałatajstwo wszystkie, które gnębi życie i niży naturę czleczą. I na to wyruszają w światy rycerze błędni, aby się to wszystko dawniejsze, arcywspaniałe, oraz to przyszłe, duchem czleczym wolne: zgoła, to, o czym wieszczą Muzy w obietnankach ciągłych, — aby się to wszystko wreszcie znalazło i nastąpiło między ludźmi.. I stał się na ten koniec smutek z oblicza ziemi!“ — kończył z szerokim rozmachem ramienia i młota.

Lecz w tejże chwili pelzać musi na klęczkach, gdyż nagle poruszyła się w zniecierpliwieniu ta noga skuwana. A pelzając tak za nią, wciąż jeszcze coś koło niej poprawia, przyklepuje, kolacze. Wreszcie powstaje z klęczek.

„Jużeś, panie, narządzony całkiem i ku wszystkim gotów.“

A krzyżując ramiona na fartuchu, przygląda się z tryumfem dziełu swemu:

„Zdziałalem harnasz, o jakim zaledwie śniło się zonglerom. Ale czem pieśni, czem romanse, czem Muzy obietnanki płonę! Owóż rzecz w śpiżu namacalnym jawnie przed tobą stoi. Popatrz, dotknij każdy!.. Przydatność? Będiesz tedy widział i przydatność, kapcanie niejeden, chocia nie na miarę twoich to piersi i goleni gnuśnych... Moje bo mieszczańskie tylko przedrzwiny mieli dla mnie przed kuźnicą moją, jak to u nich zawsze, gdy rzecz się zaraz zyskiem nie płaci. A ja kołem tu między nimi tkwiący, od nich to oczekiwałem, głupi, zachęty w rzemiośle mojem, ich pochwały na ratuszu. Pochwalili mnie, jako ja ich teraz chwale; cielec i bycy tłuscił... Nie dziw się tedy, panie, że za to twoje rozmiłowanie w dziele mojem na pół darmo odstąpiłem ci je, — gdy familia twa taka skąpa. A jeszcze ci z wdzięczności i wojsko sposobie na to przebicie się z grodu: — buntują naród włokitów.“

I znowu doskoczy do zbroi, tym razem już tylko o zalotność jej dbały, bo ten pektorał pod naszyjnicą poprawia na piersiach, by rzucił jak trzeba błyski zwierciadlane. Aż go rycerz odepchnął od siebie, w tem snadź zniecierpliwieniu, że nabył wszak rzecz i zapłacił za nią, więc niech się płatnierz odcepi wreszcie od dzieła swego!

Z urazą ładuje mistrz swe narzędzia do worka na brzuchu. I już tylko do się mówić raczy mruć w brodę swoją:

„Tego nie chcą zrozumieć ludzie, że można kochać rzemiosło swoje. I że ono kochanie — i bez kobiecych piersi — tak w czleku nieraz rozpali, że nie poskapisz dziełu swemu i najlepszych lat życia... Gdzie wtedy myśl o czym: pożytku zostaje?!.. Na jaki pożytek spalasz się ten i owy przy cychkach żoninych? Owoż ja się palę do innej pani.“

„Daremnie! — machnął nań ręką czeladnik wesółkowy, który nie powstał jeszcze z ziemi. — Całkiem ta pani nie łąsa twych pieszczot kowalskich. I już widzę, jak cię zdradzi zę mną, — chociażem ja i grzec nie duży i krótkie są piosenki moje.“

„Krótkie jest też i nie duże ukontentowanie twoje, — nawet przy kobietach, myślę.“

A on, zerwawszy się na nogi, staje w koguta postawie. Ze zaś wyżej nie sięgnął, zatargał tylko oburącz koniec tej brody wielkiej na fartuchu:

„Czemu, kowalu, chcesz nam omierzyć wszystką lubość życia? A więc i te cych... tfu, jak gburnie powiadasz! — te piersiatka lube? Czemu wszystkie serca mają być tak odte, jak twa broda na brzuchu? Takie zawzięte na się ku najsmutniejszej jakby doli — w czynieniu rzeczy ogromniastych i długich na żywot cały?“

„A czemu kościoły stały się takie przeogromne, że nie starczyło ku ich ukończeniu dwóch pokoleń?.. Sam że ja dałem połowę żywota mego, — ćwierćwiecze nieomal, — dzwierzom kościelnym, na których działałem ze śpiżu wszystkie kłęski rodzaju czleczego, od wygnania z raju począwszy, a zakończyłem — ku pasy kanonika — ostatnią nadzieją rodzaju czleczego — wedle zamyśleń moich. Pójdź kiedy, popatrz uważnie... Dziś już tylko kowalstwo a płatnertwo pozostało mi: nie trzeba innej pracy mojej grodowi memu.“

Osmętniał na chwilę; by, targając brodę, podjąć znowu w pomrukach:

„Pokolenia dwa!.. A pożytek jaki?! — grodzianom, panom i Bogu bodaj samemu?.. Nie obraziłby się pan Bóg na kościoły pedsze i lichsze. Tylko człek każdy przy nich nazwyczałby się coraz mniej wymagać od siebie, od ludzi, — a na ten koniec i od sumienia swego, — wyczekiwać za to najwięcej: właśnie od owych piersiatek lubyh... A ratusze mogłyby wtedy chwalić i wychwalać bez końca wszelką mierność powszedniego czynienia. „Łatwo, rychle; zażywnie i lubo!“ — takiem się stawa zawołanie mieszczańskie grodu mego w powszechnem zżydzeniu dusz.“

Hardo podrzucił głowę brodą. I wskazując na obu rycerzy w niż okiennej, powiada dalej:

„Przeciwi się temu spornie już tylko to rycerstwo boże — ramienia. ducha i wiary razem, — które

jest znowu na wysmiejach u swoich tam kamratów: rycerzy od pysznych płaszców i bohaterskiego rozboju... Gdziekolwiek te wielkie dziś kościoły budować poczęto, w onym grodzie, pojawiali się pewnie wprzód tacy dwaj. Przybywali z za murów, nie wiada skąd, niczem on tułacz odwieczny, klęsk grodzkich zwiastun, Kartafilus: wiecznie żywy świadek Męki Pańskiej... Przejechali ulicami takiego grodu cicho, na podwieczerek, ku zamyśleniu ludzi nad tem: czy nie daremnie to wszystko na Kalwaryi było, skoro tak lichy wciąż w dążeniach swoich są dusze człeczne? A tem ci bardziej Golgotę przypomną sumieniom, że onego to wszak skarbu Józefa z Arymatei, onej to czary z pod krzyża szukają wciąż rycerze błędni! Miną gród w ciszy. I pozostawia po sobie nieukoju moce jakoweś, ni to ocknienie, ni to ramion przeżenie się wszerek, wzwyż... Spójrz na tum w grodzie naszym: oneż to moce zbudowały i kościół sam. Popatrz. Pierś ci się twoja przed jego piersią, hej! na jaki oddech poszerza; gdy smukłość żywych kamieni u wrót uwysmukła wręcz i ciebie samego, ciała twoego czuciem: — podnosi człekal — A za gołębiem białym, który furknął od podmurza, pacierz to twój chyba dopada tych postaci świętych na wyżach spiętrzenia, aż póki nie wzięci na wieżycy storcz, pod niebem ostatni:.. „Boże, któryś nas stworzył na wzór i podobieństwo Twoje, — Synu, któryś rozżęknął serce człeczne ku niedościgłości Twojej, — Duchu, któryś nas opłomieniał dążeniem ku Tobie, — nie dozwólcież! nie dozwólcie, by się niżyla natura człeczna w nikczemności celów powszednich!“

W dłoniach obu ukryła się nagle i owa twarz pod dzwinkowym kapturem: zadumał, przyciekł i wesołkowy czeladnik płatnerza. Za chwilę ciągnie go jednak za fartuch ku ławie, usadza. Sam zaś, podwinąwszy pod się nogi, przycupnął pod brodą jego, wsparł głowę na łokciu:

„Mów dalej, — prosi, — skoro już przyszło gdzieścowi terminować u ciebie, kowalu.“

„Coć więcej mam powiedzieć, chłopcze?..“

Tymczasem linochód, który baczył snadź z pobliza na to wszystko, o czem tu mówiono, podchodzi oto ku nim i — melancholik — załamuje wraz ręce:

„Nagęściłoż bo się dziś heterodoksyl jakby światu samemu na koniec szło... Tamten, złem' chciał ludzi zbawiać, że „dobro' nie dosiężne, ten — nieznanego mająka szukaniem!.. (Niedarmo i was, kowale, o kacerstwo wszędy pomawiają). — Naczyniliż bo sobie dziś bałwanów! Ten ze swoim aż na dźwierz kościoła wtargnął. Wytropią i was dominika — poczekajcie tylko!“

Nie śpieszył się płatnerz z odpowiedzią, acz ramie już w jego stronę wyciągał i te dwa palce na uwagę wystawiał:

„Z żonglerami się włóczysz, — rzecze wreszcie, — więc znasz pewnie opowieści o Renardzie? Wiesz, kim jest on lisiur, wilczycy wysłannik, który — gdzie wilk nie nie zdoła, — lisem trzebi wszystko uskrzydłone?.. Otóż, wśród przygód tych baśni wszelakich, opowiada się tam i o tem: — jak to ze szponów lisa wyratował żorawia rumak szlachetny. I przez grzeskie bagna przeniósł rannego ptaka na ład nowy. — Wiesz kogo oznacza ten rumak? czem jest bagno ono? kim żoraw? Wiesz kim jest wilczyca?..“

Oburącz przysłaniając sobie uszy, oddala się od nich czempredziej linochód, mrużąc, że nie ciekaw tych bluźnierstw plugawych zatajonych dla kacerzy w opowieściach tamtych! — że dziś i żonglerzy nie waży się ich wygłaszać po piekarniach.

„Bo po piekarniach wyciąga już tylko długie uszy pochutliwa ciekawość kobiet!“ — odwarknął za nim płatnerz.

A że go za fartuch niecierpliwie pociągnięto, więc zwróci się do rybałta u nóg swoich:

„Rumak on, — nie przypomnę jakim imieniem zwie się w baśni, — oznacza właśnie: ono rycerstwo boże, które rodzajowi człeczemu ratuje żorawia przez trzęsawiska. Zaś żoraw...“

Przerwał sobie zamyśleniem nagłem. Pogiął się kark stary na ławie, niżej kolan zwisa broda jesienna.

„Co więcej rzec ci mam, chłopcze? Gdzie się tacy dwaj (wskazał znów ramieniem rycerzy obu) przez lat dziesiątki nie pokazują wcale, tam... mija niejednemu w goryczach wiosen szereg, w cierpkosciach mija i młodości lato, — gdy po grodach rozlewają się tymczasem trzęsawiska istne: — „Łatwo, rychło, zażywnie i lubo...“ Tam one serca, jak powiadasz, odeję, żre Acedia, na zimno', niczem rdza żelazo, by najkrzepsze w sobie... Które ocalić już to jedno tylko może: — rzucenie w ogień!“

Tu zerwał się nagle z ławy.

„Nie wierzysz mej doli, — pyta goliarda!“

„Choć on ze mną pięć dziś nie chciał, — przypomniał w niespodzianym zwrocie tę urazę do niego. — „Wina!..“ — ryknie nagle na izbę całą.

Może uprzytomnił sobie w tej chwili swe opuszczenie w tem mieście, gdzie — za towarzystwo człeczne, za kamractwo, družbę i miłość samą — od lat tylu dżban jeno wystarczać musiał.

Przygarnia oburącz do fartucha brodę wielką; by zajrzeć całą gębą w dżban próżny na stole.

„Wina! — huknie po raz drugi.

Ale dziewczka nie chce usłużyć panom od tamtego stołu za to ich nastawianie na rybałtów życie i zdrowie.

„Mml..“ — odyma się i hardzi przy beczie, pod boki ujmując na opór.

Nawet wagantry przysłuchiwały się uważnie wszystkiemu, o czem tu mówiono. I zaduma ich objęła nad wypitemi czarkami. Próżno ich lekarz tak wychwalał i słauił, nad społeczeństwo ludzką wynosił. Nie jest że, prawdziwie, nawet to najlepsze, co z siebie ludziom dać mogą, — łatwe, rychle i krótkie, by ten płomień konopny, który mało co zaświeci, a nikogo nie ogrzeje.

I pogadują oto między sobą o tych aplauzach na rynku, po których tak prędko zbierają już tylko urągi w wejrzeniach ciekawych. Pytać goliarda o te zmrugiwania się mieszczan przy spotkaniu poety, o te ich wysmiechy i wzgardliwości pod rzęsa, któremi obluzgać każdej chwili gotowi dufność w klerku mniemana, — choćby goliard zatulał się był pod kapturem w samej Muzy ciszę i zadumy. Żonglerom, wiadomo, nie brak przymizgów pań grodzkich, które nawet przed mężów własnych niechęcią jako tako ich zastawia. Ale innych kamratów ściga już jawnie złość i zohydanie przed ludźmi. — Zasię to piętno urągliwości społecznej wszyscy już towarzysze społeczeństwa cierpieć muszą na sobie — w tem wystawianiu po przedsieniach kościelnych w żebraków kompanii, po onych łaźniach, kiedy ich w piątki jedynie z żydami już tylko wpuszczają. A niech która z ich kobiet, — przypominają wreszcie, — w kapeluszu przystroić się zechce na miasto, za kurwę ją okrzykną i zapiszą na ratuszu.

Dziewka tak się zasluchala w te igrców zale i utyski, że się między nich do stołu przysiadla i na każdego, kto tylko zagada, przenosi oczy zdziwione; — a sapie za wszystkich, którzy milczą.

To kobiety współczujące zasluchanie budzi, jak to zwykle, ambit wśród ludzi. I przerzuca go zarazem na rzeczy najbliższe. Płacić chcą dziewczce i za jej poczęstunek, o darmochoy nie stoją, — już nawet do sakiew dumnie sięgają... Życie czleczę wogóle mało warta, zaś ich dola wagancka jest już całkiem psia... Koniec końców, płacić chcą. Ale dziewczka tylko zamacha golemi ramionami: ostatnia kruza z dobrowoli była: niech im wszystkim na zdrowie pójdzie. „Bo co? I niewolno?“ — pyta z ambitem i ona. „Pewnie, że wolno.“ Więc dadzą pokój.

Żacy tylko nie pochwalają tej ugody. Młodsze bo serca uporzeczywsze w wdzięczności, osobliwie za

trochę kobiecego serca w uzaleniu się nad ich dola. A że od mnichów i klerków nauczyli się żacy za dary doczesne płacić dobrem duchowem, więc któryś z nich wiersz na dziewczynę zdziałal. A pochwalony przez kamratów, ustawia się przed nią i wygłasza jej ten wiersz ustami i dłonią:

Ave formosissima gemma preciosa!
Blanciflor et Helena! Venus generosa!..

Dziewka, nie oświecona wcale, nie stoi o chwałbę, więc przy pierwszych zaraz słowach poklepie żaka dobroliwie po gębie. Zak zmieszał się, zmylił oracyę i, by podzięka kobiecie zaświadczoną była, cmoknął dziewczkę w łapę. Przerazona tem respektowaniem, spłonie za piwonie. (Wystarczyłoby żakowi poklepać ją wzamian gdzie niżej). Lecz to jakby węzłem ostatnim związało ją z wagantrami. Rozkłada się oto na stole gołych ramion spletem, pcha się w niego twarzą i piersią i wybuchu płaczem tak rzewnym, że ściszyło się nagle w izbie.

„Wszystko na was w życiu nastaje!... Moje wy chłopcy, poniewierane przez ludzi.. A przecie wychekują was ludzie po grodach jak tej rosy niebieskiej. Bo świata wy przecie rosa, grodów ucieścicie! Mościewicz!..“

I szlocha już hucznie na wagancką gospodę całą: oplakuje dolę igrców sztuk wszystkich. —

Wagantom chyba tklawie uczyniło się w tej chwili, bo ten i owy pogwizduje sobie na rezon, stroszy wąsa. Może i z tego powodu, że nieco serca kobiecego poczuł na sobie każdy z nich; a wtedy pysznić się zwykła natura męska.

Tymczasem okno gospody dziwnie naświatlać się poczyną po nocy głębokiej. Zda się mrzeją te szyby w ołowiu jak o świcie: zrazu bławem, na poły zielonem jaśnieniem barw własnych; zanim coraz to wyraźniejszym blaskiem łuny nie rozplonie pod oknem i nyża się. Coś jak chmury przegania za szybami, a po ścianach piwnicy pomykają co chwila cienie zwiewne.

„Gore!“ — wrzaśnie dziewczka, przerywając nagle swe zawodzenia.

I zerwawszy się z ławy, żegna się kilkakrotnie, jakby na ulgę, że pożar to nie w gospodzie, a daleko na mieście.

Rozchwiały się rybałty na ławach w poszeptach gwałtownych: — prawdę zatem płatnerz powiadał. A prawda jego większa może, niżli mniemał: srogi bo ogień bucha tam w grodzie, skoro aż tu, po ciemnych ścianach piwnicy, przewiewać poczynają czerwone cienie grozy, — gdy z cisy ulic dolatują głosy rogów na trwogę, niczem psów zawycia po oddalch.

„Gore“, — zawtórzą chórem.

Nie jeden z nich otrząsa się już w sobie, lub, biorąc głęboki oddech w piersi, krzepi się nazbyt widocznie, spozierając zarazem na rycerza, niczem ptak na węża. Bo jakby na nich tu wszystkich poczęło mrugać to krwawe oko łuny: „Chłopcy, pora na was!”

Tak też pojęła to wezwanie i dziewczka rozwrzawiona płaczem, bo tem gwałtowniej zaszlocha w stronę rycerzy:

„A wy, panowie, jeszcze na rzeź ciągniecie „to-to”, — na zatracenie!”

„Nie płacz: narodzisz lepszych!” — pociesza ją rycerz od stołu gromko i weselnie.

Ten bo z nieznaną pogodą oczekiwał na ochotników akcesy, spozierając na waganów, jak na taneczniki opieszale. Wiedział: gdzie oświeceni gromadzie przewodzą, tam deczyza długo w głowach się smaży. Ale potem rzecz cała z miejsca za to rusza w pojętności gromady; musztry niewiele tu trzeba.

„No, chłopcy...” — chciał był coś rzec.

Rykiem zaszlochu przerwie mu z miejsca dziewczyna.

A lepszego dobosza na „marsz!-marsz!” nie znalazłby i rycerz sam. Jako że właśnie te mdłe spazmy kobiece jurnem już zacięciem się uderzają do głowy waganom. „Cichoj!” — uspokajając raczą tklivość oddanego serca. A w tem łaskawem poczuciu większej krzepkości serca swego, krzepią się wraz i ramion mocą — za jej to właśnie płaczu przyczyną! I bodaj, że dla większych jeszcze rzewności kobiety: — znaj naszą naturę męską. „Cichoj!...” Co, chmurniejszy z nich, już kół w myślach chwytal i wbiął go jakby w brzuch jednemu bodaj tylko z tych znieawidzonych zbirów. I tak oto rozdyma już im nozdrza zalot krwi...

A kobieta płacze.

Zawodzi tembardziej, że postaci obu panów w nyży okiennej ciemniejszej dziwnie groźnie w tej żarzy na szybach, — aż staną pod blask łuny za dwa posągi czarne w surowych obrysach swych zbroi. I, zda się, już tylko tym gestem dłoni pancernych powiadają do się, że on popłoch pożaru w mieście nadarza właśnie chwilę dobrą na przebicie się przez zbiry a strażę i wywalenie bramy grodzkiej.

Jakoż, za rogów wyciem na trwogę, już i bębnowe alarmy zawarczały po basztach — na „gore!” na ratunek!

On rycerz wielki, który dotychczas milczał wciąż na ławie, a i potem wobec płatnerza roboty, — zwraca się wreszcie ku waganom z otwartą już

przyłbicą. Obie ręce wsparł na krzyżowym jelcu, — rzec coś pragnie. Przycichną, — korna i dziwnie żałośliwa trzoda przed ogromem tej zbroi, pawęży i miecza.

„Za dnia, na rynku, — usłyszą wreszcie, — zastawiłem sobą któregoś tu z was, — że się wolnym ptakiem obwołał i prawdę poety mówić ludziom mniemał. Ledwie kilka ulic z nim przeszedł, poznałem jaka to prawda poety. Tu zaś, leżąc na ławie, wsłuchiwałem się uważnie w sumienia wasze. Wiem teraz, jaka jest i wolność wasza, igrec... Na gościńcach cygaństwa może i wolne, w społeczności ludzkiej wy gorzej niż niewolniki, bo gdy tamtych chlebem i biczem jarzmiono, was tylko aplauzami na rynku.”

Zerwał się na te słowa żonglerzy z ław. Z umysłu miękkiem, bo tak bardzo wzgardliwym, gestem dłoni, odchylił rycerz od siebie to żonglerów oburzenie.

„Nie żelazo wy, wierę, które w ogień rzucone być chce ku skrzepieniu w żywą stal. Ostawajcież tedy z Bogiem. Ja stąd precz odchodzę, — pewnie w zbirów łapy. Jeśli, za igry samej pohanbieniem w tym grodzie, i rycerskiego ducha na rynku tego miasta pod przegierz wystawia, przyjdzie popatrzeć, — pewnie bohaterów!”

„Tego nam, panie, nie zadasz!” — doskoczy do niego goliard jakby z pogrozą gromady całej.

„Jako żywo, czynię to. Wiem-że: wy niczemu, co jest nad dola waszą, pomocnej ręki użyć nie zdolacie — w niedołęstwie tych rąk waszych, miękkich i śliskich od samolubstwa!”

W tejże chwili zakotłował się przed nim wrzaskliwy zamęt ramion i głów. Żaki to przedewszystkiem ruszyły nań z miejsca. „To jest obraza młodzieży!” — uchwalają między sobą w tym krzyku opętanym. Za żaków natarciem psy kugłów zerwą się z pod ław z ujadaniem wściekłym, — jakby za obrazę swych panów. Tym tumultem podjuszony podejmie się na zadnie łapy niedźwiedz u pieca. I rycząc jak ten smok w jamie, wali wprost w to kłębowisko ludzkie. Wlecząc za sobą łańcuch pochrzęstny, opłatuje nim i przewraca niejednego; a kusami ramiony to z prawa to z lewa zagarnia: nim kłami chwyci, pazurami może ułapi i pomści — rzekniesz, — obrazę sztuk wszystkich. Zgoła piekło rozpęta, kto igrców i żaków na siebie obruszy.

Podjął się wreszcie z ławy i siłacz okrutnie gruby. Poroztrząsał żaki jak te beczki hałaśliwe, psy kopaniem gdzieś pod ściany poodrzucal, niedźwiedzia za ten kolec u nosa o ziem cisnął, a zbliżywszy się wreszcie do rycerza, dłonią tak w wierzch jego pawęży uderzył, że mu ją kantem w podłogę wbił i osadził. I pięć mu swą wówczas pod nos wyciąga.

„Miękką ci się widzi ta rączka, panie. Nie daj Boże nikomu poprobować. Ja na twe zbiry tarczy nie będę potrzebował, ani w blach żelazny kowalowi zakuwać się nie dam. (Co mówiąc, ściga wraz z siebie sajan skórzaną). A i o miecz ten srogi ciebie nie poproszę, nawet kłonicy ze sobą nie wezmę; tylko pierwszego ze zbirów za nóżkę ujmę i nim reszty tych drabów dogruchotam. A ty, panie, popatrz sobie z daleka, podziw się. Aplauzów możesz nie dawać.“

I odchylił głowę na piersi włochatej, — iże taka moc czleca gołą piersią na srogie miecze idzie. Wreszcie obnażył ramię swe niczem udo babie.

I stanął tak u boku rycerza, gotowość swą zgłaszając.

W ciszę korną, jaką to wystąpienie posiało, wtrącił tylko linochód słowo smętne o sobie:

„Całe życie wyzywając tu czleku mężnie śmierć i diabła w sztuce swojej, — i oto co ci na koniec zadadzą!“

Choć markotnik i zawsze zatroskan o duszę, chłop był głuchego uporu. Wiedzano, — że gdy taki upór swój ruszy, do ostatniego tchu dostoi: cel drugiej wieży nad przepaścią nauczył go snadź w życiu tej woli. Widać to było i teraz po tej zawziętości, z jaką znaleziony gdzieś grot nabija tulejką na żerdź swych popisów, sposobiąc do swej blaszkowej zbroi rycerza na linie i włócznię wielką jak topola.

Poczem ustawił się u drugiego boku tamtego zbroiska, pawęży i miecza.

Platnerz, któremu roily się wciąż po głowie żywe spiże ku ozdobie kościoła, zapatrzył się w te trzy dziwne postaci podświetlone luną i zamruczył w brodzie jeszcze dziwniej:

„Fides! — Spes! — Caritas!..“

Żaki tymczasem zapomniały już całkiem o obrzędzie. Radzą, zmagają się i buntują wzajem: choć nie pora już ku temu, wiecują zażarcie. Rycerz, któremu, po wystąpieniu tamtych dwóch igrców, odmieniły się snadź myśli, czeka spokojnie, aż się żaki wykrzyczą. Ułowiwszy chwilę ciszy, dłoń wznosi i uśmiecha się ku nim — tak, że zaszmierzą wraz kłótnicę wszyscy: „toż on nas lubi kłami!“

„Darujcie mi, chłopcy, że to zostawił na ostatek, nie opieszałam, ani swarliwym ku namowie, lecz towarzyskom na zawołanie bojowe... Opowieścią żonglera z piekarni w sumieniach swych ruszeni, słubowaliśmy z mym nowym oto druhem: — po przebicciu się z tego grodu — wyruszyć...“

Tu przycichł nagle jego głos i tok słów się odmienił:

„...Ostatni już chyba rycerze błędni, ślubowaliśmy wyruszyć na szukanie Monsalwatu...“

Przy tem słowie zdarł z siebie nagle hełm i, trzymając go u piersi w dłoniach obu, pochyla kornie głowę.

Niczem wichur w łan kłosny, uderzy w głowy żaków to słowo, zawsze dla nich osobliwe: — Monsalwat!.. Zerwą i oni czapy, rozchwieją się w naszeptaniu, pochylą łan głów młodych.

A przecie, nawyku siłą, zezem wyzieraają ku goliardowi: co on powie na to. W wiecowaniu udziału nie brał, jeszcze nie rzekł swego słowa.

Czuje goliard, że żakom bardzo potrzeba, by i on coś tu rzekł, acz nie do słów było mu w tej chwili: tak cały osepiał nosem i brwiami. Niczem mnich pokutny przed natręctwem pobożnych, zastawia się dłonią. I rzecze krótko:

„Chodźmyż, — bodajby z wiary niedostatkiem, — byśmy nie stali się jak ta trawa, która prędzej zwiędła, nim ją wyrwano.“

A żakom widzi się w tej chwili — tam w wyższej okiennej — już tylko tego miecza olbrzymiego jęce w krzyż, a na nim cicho wsparte dłonie rycerza, jakby do przykucia u ramion krzyża tego. I słyszą: —

„Igrze sztuk wszystkich! Dane jest wam przyłożyć rękę do znalezienia Graala — na odnowienie serc człecznych.“

Trzodą owiec zagnała ruszonych zgarną się waganty pod ten miecz. I takie ich oplomnienie duchem przenikło, że, choć z napół otwartymi ustami, wiwatów okrzyknąć zapomnieli. Obwołują się właśnie, jak te żaki na ochotę: sprężonemi nagle ramionami i rozwartą dłonią.

Na uboczu stał tylko niedźwiednik, który od swojej bestyi na krok nigdy oddalić się nie może. I zdało mu się teraz, że nie on zwierzę, lecz ono jego na łańcuchu trzyma i prowadzi przez życie. I przeklinał w duchu igrę wszelką. Bo każda, nawet żonglerów i goliardów sztuka, wydała mu się teraz takim łańcuchem zniewolenia w tej dolinie na opak: że nie poskramiacz bestię, lecz ona jego oprowadza przez życie — ludziom na pokaz, — póki wszystkich sił z czleka nie wytarga...

Nagle on łańcucha koniec z garści swej rzuca niedźwiednik bestyi na głowę; kolpak swój o ziemię ciśnie z pasy i z jeszcze większą, nie wiada po co, przydeptuje go potem. Zdawaćby się mogło, że człek zrywa z siebie wszelkie więzy doli, wszystko, co na nim ciąży z dni konieczności, bo nawet i tę czapę

z głowy. Nagą wolą ku czemuś tu się zgłasza, soba, — człowiekiem.

„Bierz mnie dolo gromadzka!..”

I dobywając gdzieś z pod brewion u pieca toporzyśko jakoweś, krzyczy całkiem niepotrzebnie:

„Dajcie mi który siekirę jaką!”

Ze wszystkich końców i zakamarków gospody znoszono tymczasem w zaroieniu mrowiskowem — topory, czekany, widły, cepy, — zgoła, broń wszelaką zasobnego domu.

Gęślarz tylko w swej opońce brunatnej i czerwonym kapturze wesółka płał się beczynn timerzami. Ich męska krzężność za orężem — pod łuny mrugania na murach, rogów ponure wycia w oddali i bębnów alarmy po basztach, — działała nań nieomal, jak na te psy kugłow, ponoszące się w tej chwili w zawrotnych poskokach i płasach po izbie całej. Nad te towarzysze, zamienione jakby zaklęciem w gbury i zbóje, bliższe mu były w onym zamęcie tamte stworzenia — jednakową pobudliwość ciał czujnych, chżyżych i bez statku. Bo wręcz w ciało samo gędza uderzała osobliwość tej chwili — rytмами muzyki: to okrutnie sroziej, to znów tak dziarsko ochoczej, że aż tanecznej prawie. Jakby on sam smyczkiem gęślowym był, rzucanym o napięte struny porywu i szalu gromady całej.

„Hej, za dobosza chyba przed wami pokrocze, — bo mi świat cały nowem tępem w żyłach gra i tańczy — hej! werble szaleństwa i nadziei waszych!”

A zwróciwszy na siebie uwagę towarzyszy, wraz kugła jakby przed oczyma im wywinie.

„I powiodę was — za rycerza przewodem — już wiem gdzie... (wesółka łapą kreśli coś ku górze)... kędy się ta droga mleczna z gościńcem ku Zamorzu zbiega. — Tam... znajdziecie niechybnie!”

Sarkną, pluną nań nieomal.

A on jakby w skrusze naglej dopada na klęczkach rycerza, przytula się do tej jego łydki w kolczudze. I całuje w nakolenicy blach.

„Kocham cię, panie, z czcią lękliwą, jak niegdys tę nogę ojca, gdym pełzać zaledwie po podłodze potrafił. Ale...”

Tu począł odsuwać się od niego po ziemi:

„Ale djabła igrcowego we mnie śmiesz twoja wiara!”

By nie okazać, nielicującego zgoła rycerzowi, gniewu na wesółka, zatrząśnie pan wyzier przyłbicy.

A tamtego jakby ten bies igrcowy opętał już całkiem, bo wręcz tarzać mu się każe po ziemi i w kugłowaniach rękoma o podłogę praskać:

„Hu, jakże drapieżnie szczyrzy się ta szczelina wyziera — od ucha do ucha! Jak sierdziście ody mają zbroję blachy karwaszów! Ale ja, panie, w okru-

cięństwo twe srogie uwierzyć jakoś całkiem nie mogę... Gdy po wszystkich dziś borach huczą sumy bohaterskiego rozboju, tobie Muzy oręż w rękę wcisnęły. I roić każą o tej Bellonie pięknie-szlachetnej, która i u Muz nawet naszych od wieka w styki już tylko zasobna!.. A przedsię, jakby Muzom na odwziedzenie się, gotujesz sobie wojsko — z igrców...”

Przewinał się skrótnie u stóp jego i, wskazując smyczkiem nas kamratów, wołał:

„Spójrz! spójrz no, panie, czempredzej, jak to żonglerom i goliardowi zaokrągłyły się oczy i zapiekły rumieńce na policzkach. Nie z lękliwości to już może, lecz — co gorszą — z tej gorączkowej nijakości czuć: „Co czynić duszą?!”... Nie wierzyć dalej? — jak to klerkom rozważa, rybałtom bies przekory nakazuje fatalnie... Czy też uwierzyć już całkiem? — jak tego oczekuje od nas publika (wskazał tym razem na żaków). — Alić już lekarz powiadał, że kończymy, igrcze, zawsze na tem, czego od nas oczekuje fama. — Więc: uwierzmy, uwierzmy!.. Wszelako, — gdzie inni bić się chcą, panie rycerzu, rzecz nasza, żonglerów, judzić ich do boju, — i tyle tylko!.. Ja ci to zaraz pokażę!”...

I od skoczka lotniejszy, ustawi się za plecami niedźwiednika; a ledwie kilka tonów ze strun swych gęśli zerwie, smyczkiem przez ramię gdzieś przed się mu wskaże i — „bij, zabij!” — woła.

„Postaraj się, panie, lepiej o takich! — mów, uderzając niedźwiednika smyczkiem po głowie. — Takim prostotliwcom snadniej to, niżli żakom służy. Pokosami ścięle pod konie pańskie.”

Tu już dziewczka nie wytrzymała tych harców jego. I dopadłszy go gdzieś na środku izby, chwytając mocną garścią za ramię, odciąga precz — gdzieś na dalsze izby gospody.

Za tkiwością bo niedawna, pomstliwość ciężka na „niedoczekanie waszel!” burzy się w niej przeciw wantom. Na toż bo zastawiała ich tu wszystkich, na to opłakiwała gromadę całą, aby jej stoły rąbali, — jak w tej chwili to czynia, sposobiąc koły na zbirów. Więc już nawet lampkę chwytając: wszystko zostawia na pastwę tym zbójom. Tego tylko gęślarza, że najwęższe „to-to” wśród tych gburów, za nic im nie zostawił (Wpadł bo było chłopak od pierwszego wejścia w jej oczy wierne i pierś rzewliwą). Za nic go tedy nie poniecha — na te losy okrutne! Ciągnie go więc przemocą za sobą.

„Czego, ty głupi, tak chycasz? czego się cieszysz? Że się tu ludzie lada chwila mordować zaczęli po ulicach?!.. Patrz, już łuna dymami odbija się na ścianach. Słuchaj, na jaki gwałt łomocą bębny po grodzie całym. I rozpętało się diable rybałtowe na chwilę tańca!.. Chodźże mi stąd, chodźże czempred-

dzej, bo jeszcze ci krzywdę jaką uczynią twe srogie, spójr! towarzysze. Słysz, jak mruczą: że Bogu w pieśniach, społeczności w słowach bluźnisz. Za Pana Boga nie tak się pewnie obraża, jak za się. Popatrz, jaką ci długą, zawziętą pomstę na wątrobach skwarzą za te „bluźnierstwa przeciw społeczności”, — mówią. — Jeszcze ci naprawdę co złego w tej chwili... A może i urzeką tych spojrzeń jadem... Chodźże mi,

wilczku ty skretny, bo cię tu sama chyba roz...! — No, chodźże, chodź, luby. — Nool..“

„Dokądże ty mnie?... — Do alkierza? — zapiszczy cienko na progu, który wraz przeskoczyć musiał. — Dalibóg, do alkierza! Wprost na... Uch, jakież poduchowe łozel.. Nie liczcie na mnie, bohaterzy! — Taka jest nasza, żonglerów, robota czasu mordowania się ludzi.“

(C. D. N.)



Wieża Babel (drzeworyt) — Stanisław Kubicki.

JERZY KARASEK ZE LVOVIC.

GENENDA.

Przełożyła z czeskiego
MARYA BUNIKIEWICZOWA.

(DOK.)

Genenda otrzeźwiała w chwili, gdy ją chwylały twarde ręce zbirów. W oczach jej postacie inkwizytora i jego towarzyszy przybrały rozmiary nadprzyrodzonych poczwarów wysłanych przez piekło. Ale przeznaczenie, które wbiło w jej życie śmiercionośne szpony i wiodło do zguby, było jeszcze gorsze niż obraz podnieconej wyobraźni.

Wzburzone tłumy wydawały na ulicy złowrogie okrzyki, gdy odprowadzano Izaaka Alquadesa wraz z córką do więzienia. Opanowana strachem zapytywała się Genenda sama siebie, czem zawiniła. Na to pytanie nie znalazła odpowiedzi — wyrozumiała jednak ż wykrzykników, które ją obrzucano — że uważają ją za czarownicę, która swymi gusłami czyniła szkody chrześcijanom.

Szła prosta, złodowaciała, bez uczucia, jakby płomień życia opuścił jej członki. Chwilami tylko poźierała na ojca, który złamany i upokorzony, bezbronny i bezzilny postępował między zbirami krokiem przypominającym somnambuliczne odruchy.

Już w odwieczny dzień, na który zapowiedziano uroczyste „auto da Fè“ zawrzał w Toledo niezwykajny ruch. Z wszech stron zjeżdżali cudzoziemcy, by ujrzeć godny podziwu pochód, w którym z górującego skazańców miało się udać na płomienne stosy ustawione na Zakodawerze, kędy odbywały się zwykłe rycerskie turnieje i walki byków.

Ulicami przeciągały tłumy ludu, wszystkie gospody były przepelnione. W gromadach stłoczonych na placach i mostach drgał niepokój jako w ruchach konia, który zadziera głowę, by się wyzwolić z wędzideł. Z każdą chwilą rosło wzburzenie. Ludzie zbijali się w kupy, to się znów rozpraszali. Dochodziły uszu okrzyki podburzające przeciw żydom, a do tych nienawistnych obelg mieszały się śpiewy litanii i przytłumione dźwięki kościelnych organów. Wczesnym rankiem następnego dnia rozdzwoniły się dzwony w całym Toledo, głosząc początek całopalenia, a równocześnie wzrastały tłumy wokół gmachu Inkwizycji. Na wszystkich ulicach, które miał postępować pochód, wzniesiono drewniane trybuny dla widzów. Ciasnota poczęła się robić niebezpieczną. Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność. Zbyt

długo trwały ceremonie w inkwizycyjnym chramie, dokąd zawiedziono skazańców, by byli obecni na własnym „requiem“.

Nareszcie procesya wyruszyła. Powiała purpurowa inkwizytorska chorągiew, na nowo rozdzwoniły się wszystkie dzwony. Dominikanie przyodziani w ornaty szli przodem śpiewając i wykadzając całą drogę kadzidłami. Zaczem wlokły się szeregi skazańców z gromnicami w rękach, za każdym kroczyl jego „kmostr“, który w imieniu pupila odpowiadał na pytania stawione podczas ceremonii przez inkwizytatorów. Niektórzy ubrani byli w żółte szaty, San Benito pomalowane było w czerwone krzyże świętego Andrzeja. Wielu z skazańców niosło na głowie papierowe „carochas“ w kształcie ludzkich postaci objętych płomieniami i szarpanych przez demonów. Wszyscy szli boso.

Niesiono przed nimi odwróconego tyłem Chrystusa, gdyż niegodni byli patrzeć w jego święte Oblizce. Ich śmiertelne ciała należało do ognia, ich dusze do piekła. Knęble zamykały im usta, by nie mogli złorzeczyć podczas ostatniej drogi. Byli marnymi trupami, choć niby jeszcze żyjącymi ludźmi, bo płomień nie dotknął dotąd ich ciał i nie zaczęli jeszcze bawić swymi mękami licznych przybyszów zalegających przestronie Zakodaweru oraz pałacowe loggie przeznaczone dla szlachty i ich dam. Groźny pochód kończyli inkwizytorzy, między którymi znajdował się główny inkwizytor, potężniejszy od królów, gdyż w jego obecności siadali monarchowie z odkrytymi głowami na niższym zydlu. W obliczu głównego inkwizytora nie znać było najmniejszego wrazenia. Pozostało tak nieczułe, że nie można się było na niem dopatrzeć najsłabszego nawet pulsu krwi. Ciężkie i szeroko otwarte oczy patrzyły wprost siebie. Gdy się jawił, rozpościerało się w tłumach przerażonych jego postacią nabożne milczenie i tłumilo wrzawę tłumów obrazem śmierci, jakgdyby nagle zimne, marmurowe ręce inkwizytora kładły się na sercach wszystkich obecnych.

Genendę wiedziono na końcu orszaku przed biskupem, który miał poświęcić stos. Odlączono ją od ojca, bo przykazano mu iść gdzieś na przodzie.

Nie myślała o tem, co ją czeka. Nie myślała o ciele, iż miało być wkrótce spalone. Nie myślała, że znajduje się na drodze prowadzącej do najstraszniejszego cielesnego martyrium. Ilna myśl ją prześladowała, tłumiając przerażającą grozę, śmiertelną bladeść i straszliwe spazmy, które owładnęły innych skazańców.

Teraz na prawdę kończą się jej nadzieje, iż kiedykolwiek zbliży się do niej don Inigo — ustanie mo-

żliwość widywania go codziennie i rojenia o nim snów wielogodzinnych.

Koniec, koniec wszystkiemu. Ma umrzeć, zanim zaczęła żyć. Pocóż się rodziła? Czyż to możliwe, że zginie nie zaznawszy życia i nie odetchnie jego płomiennym oddechem?

Koniec wszystkiemu prędzej, niż zdołał się wypełnić jej żywot. Nie mogła zapłakać, nawał boleści tłumił jej głos. Nie mogła zapłakać, ogień grozy osuszał jej łyż. Za życia jeszcze przemieniła się w bladą, nadgrobną rzeźbę, za życia przypominała trupa. Piersi jej tylko ukrywały nicość a serce było puste...

Poco chcieli ją zabijać — kiedy w chwili już swych urodzin umarła dla żywota? Lecz jeśli jest Bóg? Genenda miała skłonność do mistyki, a jej Bóg przedziwnie złożony był z żydowskich i chrześcijańskich pierwiastków. Wierzyła w jego istnienie. Wszechwładny Bóg, który każdej duszy daje przeznaczenie, wprzód nim ją pośle na świat — pocóż ją, Genendę zanurzył na chwilę w świetle tej ziemi, jeśli nic jej dać nie chciał prócz haniebnej śmierci? Cemuż nie przeznaczył jej ani do cnoty ani do grzechu, ani do ofiary, ani do pokuszeń?

Nagły blask zapalił jej źrenice, rozplywające się w zielonozłotym fluidzie jej oczu. Ta myśl wniosła do jej duszy palące wzruszenie podobnie jak nieprzyjacielskie głównie wnoszą ogień do oblężonego miasta. Usta jej zapalały żarem namiętności i zabarwiły się krwią, niby karminowe owoce; Genenda, której pozostawało w życiu kilka jeszcze kroków i to wiodących na stracenie, uwierzyła nagle, że Bóg przeznaczający każdemu stworzeniu los, nie opuści jej teraz i pozwoli jej przeżyć w ostatniej chwili — choćby to się zdawało niemożliwą rzeczą — miłość, dla której się zrodziła...

I choćby trwało tylko mgnienie oka to, co miało trwać cały długi żywot — gotowała się Genenda na przybycie miłości, jako na cud, który się miał tylko dla niej spełnić... Pragnęła miłość zamknąć w swych piersiach, by je przenikała swą tajemną substancją i nadprzyrodzonym płomieniem. To, co było dotąd, nie było życiem — było niczem. Kres jej oddalony o dwieście, o trzysta kroków, a to co przyjdzie w tej króciuchnej chwili, co pochwyty jej młode znużone ciało, napelni oczy dzikim żarem namiętności, będzie jej całym życiem.

Genenda dzwignęła głowę i wyprężyła ciało. Pochód zbliżał się do pałacu dona Iniga Pereza de Oroscó.

Chwila się zbliżała — jej chwila

Genenda stała się teraz skupiona i cicha. Rozwarła oczy, jakgdyby pragnęła pochłonąć w siebie co najwięcej jasności i wrażyć na zawsze w pamięć

conajwięcej kształtów tego świata — więcej od innych ludzi — którym przeznaczone było żyć dłużej od niej. Coś się zbudziło w duszy Genendy, coś — co było raczej zatwardziałością niż rozpaczą, coś, czego dotąd nie zaznała — coś, czem chciała wymusić swój udział w życiu, oprzeć się wyrokowi przeznaczenia, by się nie stać jego marną ofiarą i nie zagać zupełnie. Chciała ugasić jednym krótkim haustem pragnienie swego serca, jednym spojrzeniem ukoić tęsknotę, oblewającą zmysłową rozkoszą jej blade ciało...

Ujrzy dona Iniga. Przyglądać się będzie z palącego okna pochodowi, otoczony pięknymi damami, które się lubują w obrazach mąk skazańców. Rumieniec zabarwił bladą twarz Genendy, lecz nie był to już rumieniec rozpacz, który ją oblewał, ilekroć patrzyła na dona Iniga, gdy wyjeżdżał ze swego pałacu na przechadzkę do Alkazaru — teraz był to płomień despotycznego postanowienia, który wzniecała Genenda w ostatnich chwilach swego istnienia — był to żar, który pewnością zwycięstwa wypelnił całą jej istotę, niecił w niej nadprzyrodzoną siłę i w wątle, liljowcem ciele zbudzał heroiczny popęd do ujarzmienia wymarzonego kochanka. Ujarzmi don Iniga, przywiąże go do siebie, teraz w tej chwili uczyni go swoim na zawsze, odbierze go wszystkim kobietom, któreby zapragnęły go kochać.

Genenda wpadła w delirium i jęła gromadzić wszystek fluid uczucia, całą swą psychiczną moc, by ją wyladować odrazu, tak jako drzewo w upale wyladowuje naraz krople żywicy, nagromadzone w ciągu długiego czasu.

Zasłubi dona Iniga w obliczu śmierci. Zostanie jego oblubienicą wprzód, nim wstąpi w płomień. Poznawała już ogromny mur jego pałacu o barwie bursztynu z emaliowymi ozdobami. Poznawała okna kiedyindziej przysłonione sfałdowanymi zasłonami kaszmiru a dziś otwarte, pełne gości zaproszonych przez dona Iniga, by przyglądali się, jak ją powiodą na zgon. Tam w otoczeniu pięknych dam stoi sam don Inigo — przypatruje się pochodowi — uśmiecha się do gości — rozrzuca łaskawie swe względy i pochybostwami, jako krzak rozy rozrzuca marnotrawnie deszcz wionących płatków.

Genenda wbiła swe spojrzenia w oczy dona Iniga. Rozszerzyła źrenice i zionęła błyskawicami swych oczu na ubóstwionego kochanka.

Piękność jej w rozpalonym powietrzu letniego dnia, gdy niebo głębokie jako morze przybrało zielono-pawią barwę i zatapiało miasto w złotem świetle, — tak iż całe Toledo zdało się być ułożone poza ogromnym gorejącym, kryształowym pryzmatem — zmogła się nagle siłą tajemniczą, aż w tłumach ozwały

się szmery podziwu nad przepięknym zjawiskiem żydowskiej dziewczyny wiedzionej na stracenie.

Z jej bladego ciała, prześwietlającego niby perłowa jakaś substancja, tryskała jasność złotym eterem, rozpromieniła wdzięk słodkich, wątlwych piersi, gorzała kobiecym czarem, rozwarła się nagle jako kwiat w tajemnej godzinie, gdy zaświeci magiczny promień księżycy.

Cicho zbliżała się Genenda, stąpając niepewnym krokiem w przepaść, która ją miała pochłoniąć. Chwilę jeszcze obaczyć mogli ciekawi jej głowę, przez małą chwilę -- nim na zawsze zniknie w płomieniach, a przecież jeszcze i teraz odzywała się w niej nadzieja, że zostawi po sobie ujarzmione serce, serce ukołchane, iżby wyrokiem zrządzenia wiecznie tęskniło za czarem zjawiska, które nigdy już nie wróci.

Genenda zamieniona w mistyczną ujarzmicielkę, wzmocniona tajemną siłą -- przeniknęła miłością, zwyciężyła spojrzeniem, magnetyzowała błyskami swych oczu, stojąc naprzeciw pałacowego portalu... Trwało to; chwilę, trwało to mgnienie oka. Nadprzyrodzoną iskrą tknęła dona Iniga, przyciągnęła jego spojrzenia ku sobie, rozdręgała jego usta, przemknęła po jego ciele, pograżyła się w jego wnętrzu; don Inigo poraz pierwszy i ostatni w swoim życiu zatrzymał oczy na obliczu Genendy, oczarowany jej krasą i przepojony jej ognistym fluidem.

Pochód przeszedł. Genenda zniknęła na zawsze, w tłoczącym się tłumie.

Don Inigo zmartwiał niby posąg, nieczuły na wszelkie wrażenia, obojętny na wszystko, co się w krąg działo. Rozwarłszy tępo oczy pozbawione wszelkiego blasku, stał zda się pograżony w lunatycznym śnie. Nic już nie widział, nie miał pojęcia co się dzieje z Genendą, nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistości. Padła-li w płomień, w straszny, huczący, pryskający ogień? Nie wiedział. Mały obłoczek unosił się nad stołem. Czyżby to była jej dusza ulatująca z pośród płomieni? Zachwiał się don Inigo. Zdało mu się, jakoby obłoczek płynął w określonym kierunku i zbliżał się ku niemu. Było-li to ostatnie pozdrowienie nieszczęsnej dziewczyny, która go opętała miłością? Czuł, że na wieki został ujarzmiony. Rozhuczało całe Toledo po skończonem „auto da Fé”. Tłumy przeciągały ulicami. Ludzie wracali z całopalenia, jakgdyby z walki byków, rozognieni, podnieceni, wśród krzyków i śpiewów. Goście dona Iniga powrócili do komnat na zastawione przyjęcie, kędy świece migotały w srebrnych lichtarzach ustawionych wśród najrozkoszniej pachnących kwiatnych pęków i aksamitno-złotych owoców.

Nie poznawano dona Iniga. Przed chwilą jeszcze zajmował się wszystkim. Teraz siedział zasmucony między pięknymi damami, które daremnie czekały na jego uśmiechy. Trawiła go wewnętrzna gorączka. Niezrozumiałe opętanie ośwładnęło jego duszę.

Nieznana mu dotąd dziewczyna, obwiniona o kacerstwo, której życie przestało istnieć tego wieczora, piękna czarodziejka, działająca jeszcze po śmierci demonicznymi czarami -- zawiązała dozgonny węzeł między nim a sobą.

Wciąż jeszcze widział don Inigo promienie tryskające z rozwartych oczu Genendy, promienie przenikające tajemniczą siłą jego brwi, jego powieki -- chociaż je zawierał przed ich atakiem... nie mógł wysiedzieć między gośćmi. Wyszedł do loggi, by ochłodzić głowę nocnym powiewem wiatru.

Na niebie nie zjawił się ani księżyc, ani gwiazdy. Wzrok dona Iniga spoglądał w ciemność niby w hebanowe zwierciadło.

Napróżno uciekł od towarzystwa. Wewnętrzna gorączka nie opuszczała go. Oszalał? Wciąż biegły jego myśli ku nieznajomej dziewczynie. Pożerało go widmo jej wątlwej, magicznej piękności. Nie upoiła go dotąd żadna kobieta ani nie podnieciła jego wyobraźni. Aż dzisiaj, dzisiaj po raz pierwszy czuł jak jest przeszycony fluidem obcej istoty, jak omamiony czarem. Jakiś dech wionął ku niemu przynosząc tysiące drażniących podnieć. Coś pochylało się nad nim, coś napępniało uczuciem rozkoszy i lęku, coś, co pragnął zawrzeć w objęciu, trwając się równocześnie. Przywidzenie? Rzeczywistość? Gorączka? Szaleństwo?

Życie dona Iniga płynęło dotąd bardziej jednostajnym niż ruchliwym nurtem. Było w niem wiele beztroski a nic zagadkowego i awanturniczego. Dona Iniga kochały piękne damy i on je rad spotykał, ale to było wszystko. Kobiety nie wywierały dotąd wpływu na jego życie.

Był piękny, pięknością chwytającą za serce od pierwszego wejrzenia... powabem czarującego usposobienia, którem potrafił złamać wiele wdzięcznych a nieopatrznych serc. Zbliżyły się do niego kobiety, śnać może dla tego, że pochodził ze starorycerskiego rodu i z rodziny odznaczającej się nieporównaną urodą; don Inigo posiadał wiele psychi rodowej swych przodków, którzy zatapiali ochoczo ostrza błyszczących mieczów w maurytańskiej krwi. Żył w nim namiętione ojców, jakkolwiek przytłumiona już i uduchowiona.

Był poetą, chociaż nie pisywał wierszy. Żył w marzeniach i w świecie nieistniejącym -- który mimo to jest najgłębszą rzeczywistością.

Białe jego czoło tęskniło za burzami i niebezpieczeństwem. Pragnęło być rozdarte wyrokiem prze-

znaczenia wprzód, nim by je dotknęły zmarszczki starości. Dlatego obojętną mu była wszelka pospolicieść, dlatego miłość najpiękniejszych, ale pospolitych kobiet wydała mu się jako manna słodka do znudzenia, którą pozostawiał innym i nie tęsknił do niej. Lecz obojętność dopadała mu w oczach kobiet jeszcze jeden czar więcej, podwajała namiętność, z jaką zbliżały się do młodego rycerza, który pod pancerzem błyszczącym od złota zachował wszystkie rycerskie cnoty. Przedewszystkiem zaś ocalił swą wolę i umiał nią kierować swe życie podobnie jak jeździec kieruje ostrogami konia. Młode jego ciało o smukłej, powabnej linii i wyniosłym wzroście maniło owalem bladego, delikatnego oblicza pełnego młodzieńczej krasy. W żrenicach tlił lazur, czarny lazur żywych, bystrych oczu, których promienie wytryskały z głębi duszy. Z powodu marzeń, którym się oddawał, robił wrażenie pacholecia, ale czynami swymi i zachowaniem zasługiwał bardziej niż każdy inny rycerz na miecz bohaterski. Wązki w pasie, o dziewecznych niemal rękach zwyciężał w turniejach barczystych przeciwników — raził ich ciosami —, a dziwnym uśmiechem, który osiadał jako zimny szron na jego twarzy, wzbudzał niepokój i miłość kobiet, podczas gdy ogorzali w słońcu jego towarzysze, rozsiewając wszystkie żary swych namiętności, zyskiwali jedynie tajony uśmieszek.

Czuł teraz don Inigo, że zbyt się woli i siły i że zatracił sam siebie.

Długo jeszcze po odejściu gości siedział w palacowej komnacie. Świece w żyrandolach dogasały powoli, topiąc ostatnie migotania w opalizujących głębiach starożytnych zwierciadeł.

W chmurach rozpyływał się don Inigo! Opowiył go one jako ciemny mrok opowija gwiazdy. Kochał nieznaną czarodziejkę? Nie! Byłoby to zańadto wielkiem szaleństwem... Więc czemuż o niej ciągle myślał? Czemuż zierał go ten szal? Dlaczego podobizna jej stawała mu ciągle przed oczyma?

Ta, o której myślał, była już martwą istotą. Po piół jej ciała rozwiął wiatr. Już nie istniała. A przecież rozmyślał o przerażającym smutku wyrytym na obliczu nieznanej dziewczyny, o wartkiej tęsknocie jej oczu, o bladej boleści jej rozżarzonych skroni.

Tajemnicze poselstwo przyniosło mu przed sknaniem oczy pięknej skazanki. Zerwał się nagle. Czyż ta stracona a przecież jeszcze kiedyś żyjąca zjawia nieznajomej dziewczyny nie obdarowała go potężniejszym żywszym żywiołem niż ten, który mu przynosi rzeczywistość?

Don Inigo Perez de Orosco zamknął się przed całym światem i zaniechał swych wyjeżdżek do Alkazaru. Nikt nie miał do niego przystępu. Przeby-

wał samotnie w murach pałacu. Choroba jego coraz bardziej się pogarszała. Kazał przywołać księdza, aby wysłuchał go spowiedzi. Niemial jednak odwagi wyznać, co go opętało. Ksiądz jakgdyby odgadł, że dyabeł pochwycił młodego rycerza w swe szpony, pokusił się, nadaremnie jednak, złamać exorcyzmami czartowską moc.

Bystra głowa dona Iniga, cysterna, którą wypełniało życie swym chybkim prądem, przemieniła się w stojącą kałużę jednej idei, jednej myśli, że jest oczarowany przez piękną żydówkę — kacerkę, która chciała pomścić swą śmierć, zadając czaru jednemu z chrześcijan. Począł przypominać sobie spojrzenie skazanej dziewczyny, wiedzionej na stos i oddał od siebie tę myśl. Czyż mogła oczarować go owa biedna dziewczka, której obnażone, delikatne, wątle ręce wspominał tak wyraźnie, jakby je widział w tej chwili przed sobą? Czyż mogła go opętać czem innym owa słaba, bezbronna istota jak tylko spontaniczną swą pięknością?

Czyż było jej winą, że miasto ułożyć się w jego duszy — tak, jako się układa delikatnymi korzonkami kwiat w ziemi, przeszyla go zatrutym sztyltem, na którym wyryty jest werset z koranu? Ale jakkolwiekby było — celem uproszenia sobie spokoju — złożył don Inigo wotum na ołtarzu w Santa Maria la Blanca.

Ze wszystkich klejnotów rodzinnych kazał uczynić serce i zawiesić na szyi cudownej Madonny.

Tak postanowił.

I wybierał drogie kamienie, fiołkowe i różowe ametysty, ciemno-zielone, jako świeże liście bukszpanu szmaragdy, złote syberyjskie topazy o kryształowej przezroczystości i inne nieszlifowane klejnoty, gorzące jeszcze całą brutalnością swych nieposkromionych ogni.

A gdy znosił wszystkie kamienie i poił nimi oczy, dojrzał wreszcie w klejnotach promienie spojrzeń Genendy, owych spojrzeń, które go opętały czarodziejską mocą i wniosły do duszy złą chorobę... Prerażony uciekł do komnaty swej zmarłej matki gdzie wisiał jej portret — bladej melancholijna głowa na szaromodrem tle, głowa owej wymarzonej bolesnej piękności, zda się skropionej zaschłemi łzami. Z całej postaci znaczyły się wyraźniej białe wązkie ręce, jakoby stworzone po to, by Bóg któregoś dnia skrwawił je swymi stygmaty. Tam don Inigo spodziewał się uwolnić od zmory, którą go zły duch prześladował.

Zapałił zakurzone w świecznikach świece i upadł na kolana przed krzyżem, przed którym modliła się jego matka. Na chwilę uciszyła się boleść. Lecz gdy powstał i zapatrzył się w pomarańczowe płomyki świec, mocno rozświeconych, poczęły nagle widma

wylaniać się przed jego wzrokiem w cieniu drgających światła, w nieziemskich płomieniach stanąć przed nim Genenda, rozciągając blaski swej krasy ukrytej w bladym, perłowej przejrzystości, nagim ciele.

Uśmiechała się tak smutnie i tak tęskno, jakby go przyzywała w gorące ramiona.

Don Inigo, omanion boleścią swego serca, patrzył ciężkimi, rozszerzonymi źrenicami na widmo, które go wabiło demonicznym urokiem a równocześnie trwożyło nabożnym lękiem.

Skupił spojrzenia w chimerycznych ruchach dzieciecego ciała. Wpijał się w rytm jej nóg i w przegięcia jej bioder.

Dusza Genendy złączyła się w tej chwili nie tylko z jego duszą, ale także z jego rozpalonym ciałem. Czuł ją w każdej żyłce, w każdej kropli krwi, w każdym nerwie.

Pragnienie serca gasił w złudzie miłostnego połączenia się z ukochaną, której nie było — w dotyku widomego jej ciała, które go wprowadzało w dziki zachwyt i zapalało ognie w rozszalałej głowie. Wchłaniał w siebie chciwie zapachy jej przezroczystych rąk, bladych jak płatek magnolii — przybliżał swą gorącą twarz do rąk ukochanej.

Don Perez de Orosco wstąpił do klasztoru, by uniknąć podobnej wizji, która go wabiła i mogła zawieść duszę na wieczne zatracenie...

Wreszcie zwierzył się przed spowiednikiem i otrzymał następującą radę: Widmo więcej się nie zjawi, jeśli don Inigo codziennie będzie tulił swe pokutnicze oblicze do krzyża. W ten sposób ugasi czartowski ogień, który wzniecił sam szatan, by zdobyć jego duszę. Don Inigo krzesił w sobie dawno zamartwą wolę: głębia jego serca będzie teraz równie czysta i jasna jak złote wgłębienie cyborium, w którym podnosi kapłan Ciało Boże ukryte w hostii.

Nie ujrzy już Genendy — skoro spuści przed oczy czarny kaptur mniszego habitu —, do osamotniałych, chmurnych zakątków klasztoru, do ciszy, w której odzywają się jeno kroki na marmurowych płytach, nie wejdzie pokuszenie.

Żył całkiem innym życiem. Zaraz po północy ze światłem w ręku wstępował z resztą mnichów do kościoła, przypominającego swym wyglądem smutny grobowiec, brzmiały w nim organy swe groźne, puste, smutne, requiem.

Nigdy don Inigo nie rozumiał więcej marności i próżni ludzkiego życia, jak w tej chwili, gdy posypywał popiołem nicości nie tylko swą skórę, ale i serce. Jakim rozpaczliwym wysiłkiem wydało mu się

życie świętych pańskich, którzy pragnęli wstąpić po drabinie mąk i utrapień w szeregi anielskie.

Do jakiej nicości podniosły się w takiej godzinie głosy ich nadziei i krzyki ich tęsknot!

W głębi świątyni tak ogromnej i wysokiej, że człowiek musiał odczuć w niej swą znikomość, mieściły się kaplice poświęcone świętym pańskim o obliczach podobnych do młodych rycerzy opromienionych glorią własnej, bohaterskiej piękności, oraz świętym niewiastom odzianym w złotogłów niby infantki. Wotywnie relikwiarze połyskiwały ze wszystkich stron kaplic.

Jedna ze świętych przyciągała dona Iniga swą magiczną siłą. Nie uświadamiał sobie dlaczego. Lecz gdyby był sobie uprzytomnił, przeraziłby się istic czartowską pułapką.

Święta podobiała się Genendzie onego wieczora, gdy święciła z ojcem ostatni kiddusz, ozdobiwszy matowe swe piersi najpiękniejszymi perłami, które otrzymała w spuściźnie po matce.

Te same perły owijały teraz szyję świętej.

Zostały ofiarowane tutaj wraz z innymi drogimi kamieniami znalezionymi w domu Izaaka Alquadesa. Zachowały jeszcze woń ciała, z którego były zdjęte.

Czar Genendy przeniknął posąg świętej i przyciągał Iniga. I gdy klękał przed rzeźbą, by ucałować jej ręce, usta cisnęły się do kamieni zdobiaczych jej pierścienie, do rubinów drgających ogniami.

Nie wiedział don Inigo, że do tych rubinów przylgnęła swa usta Genenda niegdyś, gdy myślała o nim, że podniosła je do warg i zamiast ust kochanka całowała czerwone, drogie kamienie swych pierścieni...

I tak spajał się oddech jego ust z oddechem Genendy. W tych klejnotach wracała martwa kochanka do don Iniga, wsiąkała w jego blade ciało, pograżała się w serce, przenikała całą jego istotę do głębi.

Nie chadzał już później don Inigo do innego kąta świątyni, wracał do swej świętej.

Zwierzał się przed posągiem, który gigantycznym cieniem, rzucanym od sklepienia aż w głąb chramu zakrywał tajemnicę miłości... Tak, miłości... bo don Inigo kochał świętą, jakgdyby była żyjącą kobietą. Jakaś siła podobna potężnej a tragicznej namiętności, niby groźna i szarpiąca rozkosz nerwów — ciągnęła go do tej kaplicy, gdzie każdej nocy czekała go piękna kobieta, kryjąca pod złotogłównem i poświęcanym aksamitem żary kochanki. Widział ją wszędzie. I wtedy, gdy siadywał samotnie w ponurej celi, i wtedy, gdy podczas mszy wpatrywał się w sztywnie złożone ręce cherubinów w dalnatykach, zdobiaczych kraj jego kancjanału. Blade wargi Iniga poruszały się zwolna, jakby się upajały imieniem kochanki. Zama-

rzył, by któreś mocy mógł zupełnie swobodnie złożyć gorące czoło na kamienie, obdarzone czarodziejską mocą, i zapatrzyć się bez przeszkody w białą, mleczną jasność, opalizującą srebrnymi tonami na czole i obliczu świętej, odzianej w złote koronki i gwiazdziste kwiaty, uszyte z drogich kamieni. Święta przyozdobiona była klejnotami Genendy.

Okolo północy opuścił potajemnie celę i wśliznął się do świątyni.

Niosąc zapalony kaganiec w rękę, drżał z tęsknoty. Serce tłukło się gwałtownie.

Na spuszczone czoło pomarańczowe światełka kagańca rzuciły tajemniczy blask.

Był zawsze jednakowo bladym, lecz dziś pograżony w myślach, opętany oblakaniem, które w mózg jego wbijało bolesną cierniową koronę, upodobił się do zmartwychwstałego trupa. Na licu rozperliło się nieokreślone, opalowe światło, na czole zajaśniał ogień niby topazowa mistyczna gwiazda. Oddech śmierci wionął z kościoła. Posągi niby mary z marmuru i srebra wznosiły się nad ołtarzami w fantastycznych pokręconych liniach. Świat cieniów roztańczył się w widmowym kole. Wyciągał swe upiorne ramiona niby macki, to znów je skręcał. Wszczęły się widmowe igraszki kształtów, przy świetle dziennem zastępych i nieruchomych, a teraz tajemniczo ożywionych i sterczących apokaliptycznie jako upiory i straszdyła. Don Inigo stanął przed swoją świętą.

Opuścił go łęk, gdy ukląkł przed posągami. Wpatrywał się nieruchomo w jej twarz i zwierzał jej smutek serca, bo dzisiaj znowu dzień cały przemyślał o Genendzie...

Zerwał się. Nosił przy sobie pierścień swej matki wysadzony turkusami. Była to jedyna pamiątka, którą pozostawił sobie z całego bogactwa ofiarowanego klasztorowi.

Daruję go świętej..., i błagać ją będzie, by mu wymodliła u Boga zapomnienie.

Zdjął pierścień i włożył go posagowi na palec obok innych poświęcanych pierścieni. Zdało mu się, że zaślubia coś tajemniczego.

Znajdował się tuż obok świętej. Bezwiednie podniósł kaganiec i krzyknął.

Zamiast posagu patrzyła mu w oczy Genenda. Znikła twarz wyciosana z kamienia. Ukazała się to miejsce ludzka istota, żyjąca istota jako widziadło.

Rozszerzone oczy Genendy płonęły olśniewającym blaskiem. Z ciała eterycznie przejrzystego rozpyływały się kryształowe, srebrne promienie. Marmu-

rowe oblicze roztajało i oświeciło się życiem. Nie była to już święta, ale zwyczajna kobieta, piękna kobieta, ta, którą widział wówczas, gdy wiedł ją na śmierć — ta, która jednym spojrzeniem oświeciła jego sercem, głuchem na pilne zabiegi innych niewiast. Nęcił go ku sobie wpatrując się, czarodziejsko. Odchyliła nieco głowę w tył, tak jak wówczas, gdy ją prowadzili na stos. Ekstatyczny wyraz osiadł na jej czole, a rumieniec o barwie namietnością nasiąkłych róż rozpełnił jej twarz i skronie.

Jakież oczarowanie! Don Inigo przyciągany magnetyczną siłą dwojga oczu, które żyły pod pięknymi brwiami i powiekami, lekko zabarwionymi rozpuszczonym złotem, zniewolony gorącymi spojrzeniami, które przetrwały płomieniem auto da Fé, rzucił się do cudu tak szybko, jako dusza rzuca się w przepaść na wieczną zatrutę.

Upadł przed cudem w śmiertelnym zachwycie zmysłów, by załkać u stóp jego szaleństwem miłości. Kaganiec wypadł mu z rąk. Płomień objął delikatne, pajęczne szaty.

W mgnieniu oka ognisty fluid oblał widziadło. Błyskawica. W nadprzyrodzonym ogniu na nowo zajaśniała w pełni majestatu krasa Genendy. Ciało jej zapłonęło znów ogniem. Uniosła z pomiędzy płomieni ręce przezroczyście białości, dawno niewidziane, tak jakby chciała tragicznym, odpychającym ruchem zagrozić samemu niebu. Nie, tym razem Bóg nie wyrwie Genendzie jej kochankę. Owiała go w płomienny krąg. Tulila w ognistym uścisku.

Don Inigo wpadł w najstraszniejszy paroksyzm i pozwalał się pożerać płomieniom, nie czując bólesci, podobnie jak fakir zapatrzony w zjawę nie czuje mieczów wbijanych w ciało. Zaciiskając zęby spoilił się i sprzął z ukochaną. Przyciągnął ją do piersi, u ich ciała przenikały się wzajemnie. W mózgu, opętanym jednym uczuciem, uczuciem miłości i połączeniem się z kochanką w ogniu i śmierci, nie czuł świadomości życia.

Padł w ogień jako w weselne łożo.

Dziki pożar zżerał i strawiał jego ciało niby płatki kwiatu. Drogie kamienie przyskały w ogniu, a ze sznura perel Genendy posypały się łzy na wypalone powieki i oczy dona Iniga. W tej chwili z wieży klasztornej kościoła jał dzwon wydzwaniać północ smutnym, przeciągłym jękiem.

Zakonnicy wychodząc z cel wśród grozy ujrzeni, iż w oknach jednej z kaplic, rozpalonych do czerwona ogniem, gorze tajemnicze auto da Fé, i dusze ich zadrżały w przypuszczeniu, iż płomienie te pochodzą z głębin piekła.

ADOLF CHYBIŃSKI.

MUZYKA W POLSCE
PO CHOPINIE.

(C. D. — Patrz Tom I.)

Jest jednak rzeczą zupełnie pewną, że warunki, wśród których tworzył u nas kompozytor z aspiracjami symfonisty, były do lat siedemdziesiątych bardzo niekorzystne, stąd też ilościowo i jakościowo niski stan polskiej muzyki symfonicznej do tego właśnie czasu. Wystąpienie Żeleńskiego i Noskowskiego przypadające prawie na rok 1870 jest równocześnie zapoczątkowaniem żywej twórczości polskiej w zakresie muzyki symfonicznej. Obydwaj ci twórcy przeszli gruntowne studia kompozytorskie i dzięki temu zapanował poważniejszy ton w naszej muzyce orkiestrowej. Wprawdzie nie możemy stwierdzić jakichś nowych pierwiastków w ich symfonicznych dziełach, nawet raczej pewnego rodzaju konserwatywne tendencje tak w stylu, jak i instrumentacji, wielką nawet zależność od Mendelssohna a po części Schumana i klasyków w formie i treści. Świeższym jest Noskowski, bardziej wrażliwym na ewolucje techniki orkiestrowej od czasów Wagnera, ale eklektycznym jego jest równocześnie może najbardziej charakterystyczną cechą jego stylu, gdy tymczasem Żeleński, choć nie jest w stylu symfonicznym indywidualnym, to jednak jest bardziej jednolitym. Wyraźniejszą jest faktura dzieł orkiestrowych Żeleńskiego. Noskowski zadawał nam się często szkielet, mimo że jego wiedza i doświadczenie byłyby podstawą dla rzeczy przemyślanych w treści i — co ważniejsze — w budowie, formie. Kilka symfonii Żeleńskiego i Noskowskiego nie stanowi epoki nawet w symfonicznej polskiej muzyce, tak nieobfitej w symfonie. Nie ma u nas wybitnego kompozytora, któryby tworzył swe symfonie na ich wzór. Jest to rzecz zrozumiała: muzyka niemiecka zwłaszcza, a obok niej rosyjska i czeska, posiadają potężnych symfonistów (Brahms, Brückner, Dvorak, Czajkowski, Rimskij-Korsakow, Borodin), tak że słabsze od ich dzieł symfonie polskie nie mogły stanowić wzoru, a to tembardziej, że wspomniani twórcy tych ostatnich nie byli silnymi indywidualistami. Pierwiastek polskości w muzyce, skryształizowany przez Chopina, natrafił również na nieznanie bliżej przeszkody w przeszczepieniu go konsekwentnie na pole symfoniczne, i tak np. „Mórakie Oko” Noskowskiego mogłoby być ilustracją tego samego pejzażu, który Mendelssohn nazwał „Hebrydami...”. „Tatry” Żeleńskiego starają się illustrować zjawiska przyrody — fugą... Ta uwertura w swym stylu należy do epoki chyba bardzo dawnej; w czasach Schumana byłyby zjawiskiem bardzo pożądanym. Nie brak w symfonicznych dziełach obydwu polskich kompozytorów bardzo interesujących fragmentów, technicznych nawet polskością, ale na ogół widąc kłopotliwą niemożność pogodzenia stylistyki klasyczno-romantycznej z pierwiastkami narodowymi. Noskowski usiłuje wybrnąć z tej sytuacji w swym „poemacie symfonicznym” (w rzeczywistości: uwerturze) pt. „Step”. Jest to istotnie najlepsza z jego kompozycji symfonicznych, stanowiąca w stylistyce orkiestrowej polskiej znaczny krok naprzód, mimo że przywodzi na myśl identyczny w założeniu poemat symfoniczny Borodina, tak iż żałować należy, że kompozytor nie rozpoczął wcześniej tworzyć w tym na polu romantycznym, na polu impresjonistycznym stylu rodzimym. Barwniejsza jest tu orkiestracja, nie tak barokowo przeladowana jak w jego symfoniach, w których niejedno piękne zamierzenie nie sprostało czynowi. Rozumiemy tu tę rozstraszającą dążeń, jaka każdej myśli obydwu polskich symfonistów towarzyszyła: symfonia klasyczna a zwłaszcza romantyczna już nie

zadowalała ich jako forma (głównie Noskowskiego), a nowych form jeszcze nie zdążyli sobie przyswoić, może nie wierząc im. Żeleński po za symfonię i uwerturę nie wychodził; strzeże z surowością klasyka jej kształtów z góry przewidzianych i określonych przez kanony klasycznej estetyki. Umie w nie tchnąć powiew polskiej natury (por. „Echa leśne”), lecz ta natura raczej jest oglądana pośrednio, niż wprost. I w tym kierunku Noskowski jest świeższym. Z drugiej strony Żeleński jest bardziej „intymnym”, głębszym, choć bardziej konwencyonalnym niż Noskowski, który pragnął być i był bardziej wszechstronnym i nowe formy przeszczerpić z obcej muzyki (dowód: wariacje symfoniczne pt. „Z mego życia”). Jakkolwiek twórczość symfoniczna obydwu kompozytorów już obecnie znacznie straciła w barwach, to jednak nie odmówimy im jednej zalety: że wnieśli powagę myśli do naszej orkiestrowej muzyki, że dzieła ich oznaczają w Polsce znaczny postęp w technice symfonicznej. Twórczość ich przypada na czas przed r. 1900, tak bardzo niekorzystne dla polskiego symfonisty, i to na czas, kiedy obydwaj twórcy już stali w zenicie swej siły twórczej. Świadomość konieczności „pójścia z żywymi” przychodziła zbyt późno, aby mogła przeszkodzić łączeniu w niewspółmiernych czynników stylistycznych. Widzimy to zresztą u niektórych młodszych kompozytorów: symfonie i uwertury F. Nowowiejskiego zdradzają ucznia zawsze konserwatywnej berlińskiej „Hochschule” — możnaby je przenieść w siedemdziesiąte lata; znaczenia dla rozwoju symfonicznej muzyki w Polsce nie posiadają. Zresztą punkt ciężkości twórczości Nowowiejskiego leży w innej strefie, o czym poniżej.

Generacja młodsza (Paderewski, Stojowski, Melcer) — to szereg kompozytorów głównie fortepianowych; twórczość symfoniczna nie jest ich główną twórczością. Symfonia d-moll Stojowskiego posiada — jak przysłało na ucznia szkoły francuskiej — przejrzystą formę i przejrzystą instrumentację; skłaniającemu się do salonowego stylu kompozytorowi udało się powieścić szczerze, utwór może pierwszy w Polsce zdradzający pewność siebie w opanowaniu nowszej instrumentacji i jej efektów barwnych, ale symfonia jako całość nie jest ani indywidualna ani bogata w głębszą treść. Natomiast „polska suita” Stojowskiego jest zupełnie szczęśliwą próbą. Żałować można, i to bardzo, że tak symptomatyczna forma, jak suita, nie znalazła u nas wyznawców. Byłaby to może najodpowiedniejsza forma dla muzyków, należących do narodu, który wydał arcy mistrza małej formy, Chopina. Tu znalazła by się aptośność wyzyskania ludowych polskich melodii i nadania im szczególnie interesujących rysów przez cyzelatorskie opracowanie szczegółów oraz charakterystyczne zabarwienie instrumentacyjne, zdolne wy-czerpać cały sentyment i odrębność.

Chopin wskazał drogę, jak należy melodie ludowe lub o ludowym charakterze harmonizować, aby nie straciły nic na swym stylu. Dalsze prowadzenie tych harmonicznich odkryć Chopina mogło być jednym z najwzjęciejszych zadań kompozytora polskiego, tak jak to na swój sposób czynili i czynią Rosjanie, Finlandczycy, Francuzi, Hiszpanie. Może być, iż ambicja w kierunku „wielkiego stylu” odrzucała młodszych kompozytorów od zadań, które bliżej leżały. Dziełem ambicji można nazwać symfonię Paderewskiego. Nie jestem w możności wydania o niej stanowczego sądu, gdyż słyszałem ją raz tylko. Wrażenie, jakie na mnie sprawiła, nie było jednolite. Jest to raczej cykl poematów symfonicznych niż symfonia. Środkii jakimi kompozytor posługuje się, są w stosunku do ściśle muzycznej treści zbyt wielkie, a prztem tematyka zbyt mało plastyczna. Indywidualnym nie jest styl tej symfonii, której instrumentacja wzoruje się na Wagnerze.

Dotychczas wzięci pod uwagę twórcy symfoniczni nie byli — wyjąwszy Noskowskiego — symfonistami par excellence

symfoniastami — rzecz można — z urodzenia i przekonania. Dopiero od 1900 roku mniej więcej nastaje w Polsce epoka symfoniczna. Owoce dążeń symfoniki Wagnera, Czajkowskiego, Rimskiego-Korsakowa; Ryszarda Straussa (w pierwszym rzędzie znalazły echo w najmłodszej generacji, której głównymi rzecznikami stali się Mieczysław Karłowicz, Grzegorz Fitelberg, Karol Szymanowski i Ludomir Różycki. Ta „młoda Polska w muzyce” już swem zbiorowem wystąpieniem oznacza uświadomienie na punkcie zadań i celów. Talenty zaś wszystkich czterech kompozytorów wysunęły ich na czoło. Niemniej wiedza, która pozwoliła im być swobodnymi w zakresie wszelkich środków muzycznych. Ci twórcy od razu zauważyli, iż nie można iść ręką w Europę, jeśli się jej nie sprostano — naprzód technicznie — dotąd bowiem spóźniała się muzyka polska zawsze o jedną generację, może nie z przekonania względnie uprzedzenia dla nowszej techniki (i — co za tem idzie — nowego „światopoglądu muzycznego”), ale z tego powodu że nie było w Polsce możności słuchania bez przerwy dzieł, które dziś już należą prawie do klasycznej literatury muzycznej (Wagner, pierwsze dzieła R. Straussa, wiele dzieł Regera, Rimskiego-Korsakowa, C. Francka, itd. nie mówiąc już o Brahmsie i Brücknerze). Ta młoda generacja może po raz pierwszy w Polsce wykazywała w swych dziełach, że nie można poprzestać na tem, czego się nauczyło za młodu, lecz dążyć ustawicznie naprzód we wszelkich kierunkach, aby nie spóźniać się we wczasy, żyjącej dziś szybciej niż kiedykolwiek. Tu nie chodzi o to, aby nadaluchiwać, skąd doleci „dernier cri” i od razu transplantować nowe efekty Debussy'ego, Regera, Straussa, Skrijabina lub Igora Strawińskiego do muzyki polskiej, lecz o to, aby stanowiący na możliwie najdoskonalszym stopniu techniki symfonicznej, umieć zdobyć się na ruchy samodzielne i samodzielność wynalazczą w zakresie środków formy i treści. Nie wzorowali się ci symfoniści na wzorach rodzimych, gdyż ich nie było w zakresie muzyki symfonicznej.

Niewątpliwie silnym bodźcem było powstanie Filharmonii w Warszawie. Od tego czasu nie potrzebował kompozytor polski liczyć się ze środkami instrumentacji, zależnymi od składu improwizowanych orkiestr. Ale to jak na dłoni leżące a ustawiczne wzbogacanie bezbarwnej dotąd symfonicznej palety polskiej odbywało się z całą świadomością i odbywa nadal. W zakresie środków harmonicznych odbył się też postęp tak szybki i równocześnie konsekwentny, że między dziełami tej i poprzedniej, a zwłaszcza najstarszej generacji zdaje się leżeć przepaść mieszcząca w sobie lat kilka dziesiąt. Rzecz można iż ostatnią konsekwencją nowatorstw Chopina w zakresie harmonii dzieła Karłowicza i jego grupy, choć nie da się zaprzeczyć że ogniwami pośrednimi był i Wagner i Strauss, a nie mniej Reger. Że Chopin jako harmonik nie wywarł na nich wpływu, było by rzeczą śmieszną twierdzić. Wystarczy wziąć na uwagę harmoniczną ośnowę ich tematów. Ale rzecz inaczej się ma, jeśli się wglębimy w styl ich symfonicznych dzieł. Nie mogli nie czerpać z dzieł obcych, gdyż u nas wzorów nie było. To też wpływy Wagnera, Straussa, Regera, niektórych francuskich i rosyjskich kompozytorów są niezaprzeczane. Tylko że był różny sposób reagowania na te wpływy, na szczęście nie jednostronne i nie drugorzędnej wartości.

Jeśli Karłowicz tworzy wyłącznie poematy symfoniczne — on to wprowadził do nas tę formę — podobnie jak Różycki, zaś Szymanowski wyłącznie symfonie, jeśli Fitelberg umie opowiadać jedną i drugą formę, to jestto dowód, że poglądy choćby na samą formę w grupie tych kompozytorów są różne, że istnieje zatem odrębna indywidualność, nie zaś grupa tworząca swe dzieła według jakby umówionego schematu. Tu o epigonizmie nie ma mowy. Takie poglądy na środki są w tej grupie od-

mienne. Przeciw Różyckiemu, który posuwa swobodę formy do granic fantastyczności, koloryt orkiestrowy potęguje do ostatości, zamieniając barwę — wyraz i w imię tej zasady ogranicza technikę polifoniczną do minimum, staje Szymanowski, wyznawca innych form (sonata, fuga, wariacje), polifoniata pierwszego rzędu, (także z europejskiego punktu widzenia), który na razie przynajmniej poświęca kolory na rzecz wyższych — jego zdaniem — artystycznych czynników. Jedynie Karłowicz i Fitelberg godzą w sposób wysoce szczerliwy wszystkie te czynniki razem. Jeśli mowa o mądrości artystycznej, to wyzyskanie tematu utworu celem przeprowadzenia motywicznego, jakie widzimy u Karłowicza lub Szymanowskiego, zasługuje na miano skończonej doskonałości. Młodsza generacja polska ma tu przed sobą wzory klasycznej wartości. Pomyślność kolorystyczna właściwa dziełom Karłowicza, Fitelberga i Różyckiego mieści w sobie skarby, z których można czerpać nieustannie, a żadnej nie ulega wątpliwości że Szymanowski zdola i w tym kierunku dojść do zupełnego mistrzostwa, gdy owym polifonicznym, nieraz zdumienie i głęboki respekt budzącym pomysłem przeciwstawi światny koloryt, pogłębiający wyraz muzyczny. Wszystkie te skarby, jakie kryje w sobie twórczość tych czterech twórców składają się na jedno: na wyzwolenie symfoniki polskiej z pętów jakiejkolwiek konwencyonalności. To zasługa ich, która już obecnie w rozwoju narodowej sztuki posiada znaczenie przełomowe.

Ale ten przełom nastąpił tak nagle i z taką siłą, że nie możemy się dziwić, iż szereg dzieł tych kompozytorów nie stał się jeszcze własnością ogółu. Nie rozporządza jeszcze Polska orkiestrami mogącymi bez szkody dla kompozytora wykonać np. II. symfonię Szymanowskiego lub „Stanisława i Annę Oświęcimów” Karłowicza. Ogół posiada znaczne luki w znajomości symfonicznej muzyki Europy. Nie jest znany wystarczająco ani Wagner, ani Brahms, Brückner, Berlioz, C. Franck, Mahler, Reger, Skrijabin itd., stąd trudność w zorientowaniu się w stylu „Młodej Polski”, trudność polegająca na braku tradycji i ewolucji stylów. Stąd wydaje się wielu krytykom, iż są to dzieła „dla muzyków”, nie dla „publiczności”. Tym problemem zajmemy się przy innej sposobności. Jeśli zaś kto chciał zarzucić te szkole, że „nie jest polska”, ponieważ wzoruje się na obcych dziełach, to odpowiedni chyba wystarczająco, jeśli wskazywać na następujące punkty:

W dziełach Karłowicza, Fitelberga, Szymanowskiego i Różyckiego daremnie szukać mazurków, polonezów, krakowiaków i imitacji polskich ludowych melodii, ale te czynniki nie są ani w części wyrazem polskości (wszak dobre polonesy i mazurki pisze i obcy) natomiast dzieła ich stanowią duchowy kapitał narodu; ich wartość jest wartością reprezentatywną wobec Europy, nie zaś wartością użytkową, posiadającą mało odwagi do wyjścia poza kresy. Szereg dzieł Chopina ani w jednym takcie nie zdradza „polskości”, ale posiada wartość powszechną, która nikomu innemu tylko nam na korzyść wychodzi. Jeśli zaś mielibyśmy sięgnąć do źródeł symfonicznej twórczości naszych „nowatorów”, to już same tytułowe karty dadzą nam wiele do myślenia (Karłowicz: Rapsodia litewska i „Stanisław i Anna Oświęcimowie”; Fitelberg: Fantazja na polskich tematach; Różycki: „Stańczyk”, „Pan Twardowski”, „Bolesław Śmiały”, „Anelli” i t. d.) Nawet tam gdzie tytuł jest „niepolskim”, źródła są polskie. „Pieśń o wazzechybie” (III-cie części trylogii symf. Karłowicza) nie powstała gdzieindziej jak wśród panteistycznej ciszy tatrzańskich wierzchołków. Słowiańska przynależność Szymanowskiego wieje z każdej karty jego partytur. Tylko że trzeba umieć rozróżnić treść od środków. Te ostatnie, tak jak je widzimy u naszych czterech symfoniastów, nie były w obiegu przed nimi w naszej muzyce symfonicznej.

Kompozytor polski, przytłumiony zewnętrznymi warunkami w swobodzie doboru środków, nie posiadał nawet możliwości wyzykania tego, co w istocie umiał. Dusila go „użytkowość”. Jeśli zaś nie stworzono przedtem tych środków, to albo je należało stworzyć, albo też nauczyć się od obcych, aby nie spóźnić się w ogólnym pochodzie ludzkości ku przyszłym celom. Tego właśnie dokonali nasi czterej symfoniści. Dzięki im nie jesteśmy spóźnieni, a uznali to obcy z całym należnym szacunkiem. I również dzięki im możemy powiedzieć obcym: „Introite, nam et hic dii sunt”.

Znajdziemy jeszcze sposobność, aby tym Kasprowiczom, Miriamom, Przybyszewskim, Reymontom i Żeromskim muzyki polskiej poświęcić osobne studia.

Słowa powyższe służyły tylko dla informacji ogółu, od którego chętnie i chytrze oddzielają naszych twórców muzycznych — krytycy, sami niekiedy komponujący... użytkowo.

(C. D. N.)

LISTY LITERACKIE.

I.

(*Literatura przejściowej epoki.* — Ignacy Chrzanowski „O komediach Fredry”. — Fredrowskie „Trzy po trzy”).

Rozważanie bieżących zjawisk literatury polskiej napotyka niemało trudności. Występują najpierw przeszkody natury technicznej: nowowydana książka nie może krążyć swobodnie po obszarach Polski. Zaliczać musimy do bieżących zarówno wydawnictwa ostatniej chwili, jak książki drukowane jeszcze przed wojną, ale zatrzymane w wykończeniu lub obiegu wskutek okoliczności wojennych. Poza tem książce literackiej brakuje dzisiaj dostatecznego rezonansu. Nie tylko dla tego, że nie rozejdzie się dość szybko nawet w granicach jednej okupacji, ale że nie znajduje atmosfery ciepła moralnego, które pozwoli treść jej przeżyć w duszach, uczynić ją przedmiotem płodnej dyskusji, wywoływać przez nią prądy duchowo-uczuciowe, tworzyć te idealne — jak mówił Trenowski — „innobyty”, które są projekcją wewnętrznego żywota samego dzieła, które pobudzają sprawność autora, dodają polotu i podniety nowym jego koncepcjom twórczym. Spłot warunków społecznych całej, blisko cztery lata już trwającej epoki przemówowej tak bardzo zależy od wojny, że każde zjawisko literackie nie tylko traci swą ściśle wyodrębnioną datę, ale skazane jest z góry na los zupełnie przypadkowy. Śród trosk wojennych literatura staje się tym gatunkiem zbytku, który nie obowiązuje nawet wczorajszych snobów. Można (a w braku światła w domu, nawet trzeba) spędzać wieczory w teatrze; ale niema już dostatecznej przyczyny czytania książki. Jeżeli tedy nowy utwór dopiero wówczas zechcemy poczytywać za żywe, pełne zjawisko literackie, gdy się rozejdzie po sercach czujących i wywoła wzruszenie, przez które rozszerszą się dusze, to w naszych dyskusjach nie wiele może podobnych utworów wymienić zdołamy. Ale czyż przez to nie urośnie wdzięczne zadanie tych „listów”? Zdobyć mają sobie szacunku budzenia literackich zainteresowań po przez ciężkie, szare zabiegi wojennego dnia.

Spójrzmy najpierw na tło epoki. Rozszerza się oto wstecz, aż do dnia wybuchu wojny, aż do chwili, gdy rozpoczęła się w kraju ogólna dezorganizacja życia i gdy twórczość literacka na pewien czas jakby zamarła. Pamiętamy wszyscy dobrze, na jakim

momentie zatrzymał się zegar tej twórczości. Skoro tylko życie zamknęło się w węższych szrankach, skoro wyjałowiało wewnętrznie, powieść polska uciekla od obrazów dnia dzisiejszego i pobięła w przeszłość, jak to czyniła stale w XIX wieku. Najwybitniejsi pisarze odwrócili się od chwili bieżącej i szukali ruchu, stylu, namietności, barwy, pełni życia w przeszłości narodowej. Sienkiewicz, Żeromski, Reymont, Tetmajer, Sieroszewski, Daniłowski, Nowaczyński, Gomulicki i dziesiątki innych — wszyscy wychodzili poza obrazy i zagadnienia współczesne. W poezyi — herold pokolenia, Stanisław Wyspiański walczył z „płesnieniem w grobach”, ale sam przez cały swój żywot twórczy z grobów tych nie wychodził...

Gdy piorun dziejów, rozpalwszy zarzewie olbrzymiej wojny, ukazał w lunach pożarów zarysy „żywej Polski”, pisarze nasi pogrążają się w długą ciszę skupienia. Po nagłej przerwie ogólnego zamętu, kończą się i wychodzą z druku niektóre, dawniej przygotowane utwory: Rok 1794 Reymonta, Puszczą Weyssenhoffa, Nawracanie Judasza i Zamięć Żeromskiego, Beniowski i Ocean Sieroszewskiego, Adam Drzazga Przybyszewskiego. Ale nastroj ogólnej tymczasowości, podniecenia i oczekiwania udziela się przedewszystkiem naszym twórcom. Milczą. Niektórzy giną z głodu i — milczą. Czują instynktem, że w takiej chwili będzie poszukiwana, czytana lub słuchana tylko literatura bezpośrednio z życiem bieżącym lub z dążeniami zasadniczej przemiany związane. Po kraju całym toczą się mętne fale różnych „oryentacji”, świadczące, jak daleko niewola wywarła nam niektóre władze duszy. Z ust do ust przechodzą służalcze pytania: pod kim? Twórcy, którzy są sumieniem narodu, zrazu walczą się tylko w te niewiarogodne pytania. Potem usiłują wobec samych siebie wyjaśnić niemoc pieśni. „Szczek oręza — mówi jeden z nich — huk armat zamknęły nam usta, bo głośniejsi, niżeli pieśń, brzmia jęki Hiobowe.”

Głos samorodny wywołują Legiony. Gieść 6 sierpnia stworzył odrazu żywą legendę, której głód uczuwaliby wszyscy. Zaroilo się w Polce od postów chwili tak mocno, jak w żadnej innej epoce. Nieznani, okolicznościowi śpiewacy tłoczyli się w czasopiśmie i wydawnictwach zbiorowych ze swymi pieśniami. Po kilkunastu miesiącach walk legionowych ukazują się już dwie antologie wojenne (L. Szczepański

skiego oraz pp. Łempickiego i Fischera), zawierające utwory dwustu z górą poetów lub przygodnych wierszokletów. Niepodobna do tych pieśni, pełnych żaru i miłości ojczyzny, zbliżyć się z miarą krytyczną. Odnajdujemy w nich niezawodnie więcej dokumentu uczuciowego epoki, niż głębszej poezji, zdolnej nakarmić przyszłe pokolenia. Jeden z apologetów literatury wojennej, p. Zysław, pisze: „Duszy polskiej podniesienia i upadki, straszliwe trwogi i niebiańskie zachwyty, Konradowe zmagania się z Bogiem i godziny junackiego wesela, świadczące o wierze w przyszłość narodu „wbrew nadziei,“ jednym słowem rozprężanie się ducha polskiego ku wolności — to mądry, sumienny a wrażliwy badacz odcyfruje z wierszyków żołnierskich, z wścieklej karykatury „zuchowatych“, z aktualnych nowel, z nastrojowych obrazków, setkami i tysiącami rozrzuconych w pismach i wydawnictwach wojennych.“

Z tem „rozprężeniem się ducha ku wolności“ powiązano bardzo wiele złudzeń twórczych, które powrót normalnych warunków podkreśli i uwydatni znaleźć. Literatura wojny, stanowiąca dość znamienne cechę epoki, ubogiej w dzieła literackie, da się już dziś ująć — wobec stłumionego rapsondu legionowego — w pewne syntetyczne uogólnienia, które najwięcej można wyrazić tak: pod względem treści — głód legendy bohaterskiej i gorące wiązanie teraźniejszości z tradycją walk poprzednich pokoleń; pod względem formy — poprawność niepokojąca, bo przy wzmożonej niewątpliwie kulturze literackiej, połączona ze zbyt wielkimi niedoborami talentu. Zastanawia jednocześnie nadmierna obfitość wierszopisów legionowych.

Przełom w życiu narodu gotuje niezawodnie likwidację niektórych prądów (a nawet form i typów) literackich. Już dziś nie brak objawów tego przekształcenia się literatury. Jeżeli nawet nie otrzymamy zmian istotnych, to przecież pełnia życia w Polsce niepodległej musi znaleźć odbicie w różnorodności i pełni literackich natchnień.

Tymczasem będziemy się przyglądali bieżącym zjawiskom literackim, zarówno takim, które się unoszą ponad falą wypadków dnia, jak tym, które zdradzają znamiona przypadku, opóźnienia lub prześlizgnięcia.

Oto najpierw dwie książki, dotyczące Fredry. Prof. literatury w Uniwersytecie Jagiellońskim, Ignacy Chrzanowski, ogłosił obszerną monografię o jego komediach.¹⁾ Wynik — rzetelnej pracy, sumiennych poszukiwań, drobniawych porównań, genetycznych śledzeń, szczegółowej analizy. Mamy historię sławy Fredry, badanie jego umysłowości i uczuciowości, obraz jego upodobań literackich, chronologię, genezę i podział utworów, źródła pomysłów, rozbiór techniki komedypisarskiej Fredry, jego postaci, jego humoru i komizmu — wreszcie pobeżenie rzutu oka na poszczególne komedye, brane w całości. Jednym słowem — solidne, filologiczne uporządkowanie sprawy Fredry. Chrzanowski stosuje tu jeszcze raz metodę, której był u nas jednym z głównych zaszczepców. Metodzie tej towarzyszy deterministyczna wiara, że w twórczości literackiej, jak

fizyce, ta sama przyczyna, działająca w tych samych warunkach, musi wydać ten sam skutek. Szuka się przeto bez końca przyczyn i warunków twórczości, w złudnem — chociaż nie objawianem głośno — przeświadczeniu, że skutek ten można będzie przewidzieć. Jedyny ważny moment w pisarzu, czyli jego twórczość oryginalna, schodzi na plan ostatni. Badacz filologiczny twórcy postępuje tak, jak ów matematyk bergsonowski, „któryby znał pozycję molekuł i atomów organizmu ludzkiego w pewnej danej chwili a także pozycję i ruch wszystkich atomów, mogących nań wpłynąć — i obliczyłby z nieomylną dokładnością czynności przeszłe, teraźniejsze i przyszłe osoby, do której ten organizm należy, tak samo, jak się przepowiada zjawiska astronomiczne“. Jeżeli, obcując z dziełem literackim, określamy tylko wpływy i środowisko, wśród których to dzieło powstało, to w wyniku ostatecznym odsłaniamy negatywną stronę sprawy, czyli wyjaśniamy jedynie, czemu to dzieło nie jest i czem być nie mogło. Ale zupełnie złudne są nasze przypuszczenia, że twórca dlatego napisał swe dzieło, że wydała go ta lub tamta rasa, że otrzymał takie, a nie inne wykształcenie, że czytał takie, a nie inne książki, że wchłonął w siebie takie, a nie inne pojęcia. Zestawienia, porównania, długie seryje podobieństw i pokrewieństw „genetycznych“ usiłują sprowadzić twórcę, oryginalne dzieło do pierwiastków istniejących już i znanych. Łatwiej takie podobieństwa uzasadnić, niż przeniknąć w głąb tej wizji, która przynosi jedynie, bo indywidualne zjawisko literackie.

Chrzanowski jest wyjątkiem wśród naszych „polonistów“: zachował on nieklamana świeżość entuzjazmu w swych badaniach. Niestety jego odczuwanie piękna nie zawsze jest autentyczne. Zbyt często przesłaniane bywa reminiscencjami cudzych sądów, które obciążają erudyty historika balastem olbrzymim. Monografia wyszła niewątpliwie z wykładów uniwersyteckich, ale źródło ją przeświadczenie o tem „wielkiem szczęściu literatury polskiej, iż ma komedye Fredry.“ Chrzanowski ubolewa nad stałą niedolą naszej kultury literackiej, t.j. nad brakiem ciągłości wpływów naszych wybitnych pisarzy na pokolenia. „Komedye Fredry, grywane za jego życia, miały wprawdzie kilka wydań zbiorowych, a wszystkie komedye miały ich dwa; ale nowego wydania zbiorowego, pomimo, że wszystkie stare są już dawno wyczerpane, jak niema tak niema; od czasu do czasu ukazują się tylko poszczególne komedye — przeważnie na użytek szkolny. Na scenie od lat kilkunastu widuje się Fredrę coraz rzadziej; nawet przedstawienia *Zemsty* i *Ślubów paniieńskich* przybierają coraz wyraźniej charakter przedstawień dla młodzieży szkolnej lub dla publiczności niedzielnej.“ Rozważanie wielkości talentu twórczego Fredry nasuwa Chrzanowskiemu szereg wniosków, z których najważniejsze można ująć w takiej syntezie: Poprzednicy Fredry w Polsce pisali komedye w świadomym zamiarze przyniesienia pożytku społeczeństwu; Fredrę zaś do tworzenia typów i komedyi skłonił „nieprzeparty, żywiołowy pęd twórczy, jak u każdego prawdziwego poety.“ Sprawa źródeł pomysłów Fredry jest bardzo skomplikowana. Zbliżwszy się do niej z całem bogactwem środków,

¹⁾ Ignacy Chrzanowski. „O komediach Fredry“. Kraków. 1917. Nakładem Akad. Umiejętności.

stwierdza Chrzanowski, że jeżeli chodzi o wzory ojczyste, to korzystał z nich Fredro bardzo niewiele; jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę sam fakt pisanie komedii, to bez Bohomolca, Krasickiego, Zabłockiego i Niemcewicza, nie pisałby Fredro tak znakomitych komedii, jak te, które zostawił: „byłaby to próba komedyopisarstwa polskiego, ale nie jego — zenit.“

Jak daleko sięga oryginalność Fredry? Fakt to przecież stwierdzony powszechnie, że bez Moliera nie byłoby Fredry — komedyopisarza. Molierowi zawdzięcza Fredro „nie tylko podniętę do pisanie komedii, ale także w bardzo znacznej mierze pomysły i zasoby treści.“ Nie zmienia to stanowiska twórczego Fredry, nie zmienia go nawet ustalenie podobieństwa niektórych postaci fredrowskich z postaciami molierowskimi, „i to nie w poszczególnych rysach zewnętrznych, — bo te są prawie zawsze inne, — tylko w samem wnętrzu duszy, w istocie charakteru.“ Analogie te płyną z pokrewieństwa literackiego. Dotychczasowe badanie nad źródłami komedii Fredry budzą wątpliwość, czy przyszłe poszukiwania „zdolają pozbawić Fredrę godności o oryginalnego komedyopisarza.“ Według Chrzanowskiego „będzie to nie przesada, nie naciągana apologia, tylko najszerszą prawdą, kiedy się powie, że Fredro brał wprawdzie z tkwiących mu mocno w pamięci, a widzianych na scenie albo też czytanych komedii, zwłaszcza francuskich, gotowe formy (w znaczeniu ogólnych pomysłów, albo najlepiej, schematów), ale wypełnił je treścią własną.“ Nie odznaczał się Fredro bogatą inwencją, ale w procesie jego twórczości artystycznej „własna wyobraźnia (inaczej, jak u Zabłockiego) odgrywała rolę nie tylko znaczną, ale jak u każdego prawdziwego artysty, główną.“

Przyszedł także czas na rewizję starego komunału o rzekomej arcy-polskości komedii Fredry. Najjaskrawiej wyraził go w swem studium p. Günther, który utrzymywał, że „polskość wogóle bije luną tak silną z utworów Fredry, iż wszystko, co jest po za nią, ginie w cieniu i mroku. Chrzanowski odrzuca to uogólnienie i podkreśla, że Fredro kładł główny nacisk nie na obyczajowość, ale na charaktery ludzkie. „Był polakiem, mieszkał w Polsce, więc kreacje jego noszą na sobie niezaprzeczone znamiona polskości; ale w ogromnej większości postaci chodziło mu nie tyle o Polaka, ile nadewszystko o człowieka.“ Czy takie przesunięcie zagadnienia rozstrzyga je ostatecznie? Wątpimy. Nie zmieni ono wątpliwości, które się raz po raz nasuwają przy słuchaniu Fredry. Po za najczystsza perła twórczości polskiej, to jest czarującymi *S l u b a m i*, we wszystkich komediach Fredry niepokoi podziwiew francuszczyznę z XVII wieku, przetransponowany na obyczaj i charaktery polskie. I jest to daleko wyraźniejsze w komediach kontuszo-
wych, niż w innych.

Po subtelnej analizie stylu Fredry i jego powolnego dążenia do realizmu, stwierdza Chrzanowski, że dynamika wszystkich jego komedii, zarówno w założeniu i wdrożeniu akcji, jak w jej przebiegu i rozwiązaniu, „należy jeszcze, na ogół biorąc, do starej szkoły: pomysły konwencyonalne, które późniejsza szkoła realistyczna w poważniejszej komedii zarzucała, a raczej powoli zarzucała, kwitną tu jeszcze w najlepszej.”

W ciekawych rozważaniach komizmu Fredry, bierze Chrzanowski za punkt wyjścia rozróżnienie Lippsa na trzy główne rodzaje komizmu: podmiotowy, przedmiotowy i najwny. Zasługa Fredry na tem właśnie polega, że wprowadził do naszej komedii komizm podmiotowy. Szczegółowe uzasadnienie tego poglądu stanowi jedną z naczelných zalet studium Chrzanowskiego.

Oczekujemy wreszcie syntetycznego spojrzenia na dzieło twórcze Fredry. W tym momencie dopiero talent Fredry stać się nam może w całej pełni jasnym i należyte wyodrębnionym, uwypuklonym. Chcemy ten talent zobaczyć po przez wizję artystyczno-twórczą krytyka. Niestety Chrzanowski stanął przed tem zadaniem z pewnym lękiem. Sądzi, że „drobiazgowo roztrząsanie poszczególnych komedii byłoby zbyt czu-
ne,“ albowiem... — „Tarnowski w swoich odczytach warszawskich i w swoich późniejszych studiach o Fredrze tak trafnie i tak pięknie wykazał, co w jego poszczególnych komediach jest śmiesznego, pięknego albo z innych względów godnego uwagi.“ Pomimo tego zastrzeżenia, Chrzanowski rozpatruje samodzielnie poszczególne komedye Fredry. Szerokie horyzonty, jakie myśl jego ogarnia, dojrzałość sądu, entuzjastyczne obcowanie z Fredrą — wydały szereg głębokich uogólnień, które budzą w nas szczerą żal, że Chrzanowski-filolog tak mało ufa Chrzanowskiemu-krytykowi literackiemu.

Zanim otrzymamy nową edycję pism Fredry, o które tak słusznie dopomina się Chrzanowski, firma Gebethnera i Wolffa wypuściła w świat luksusowe, bogato ilustrowane wydanie pamiętników Fredry, zatytułowane przez autora „Trzy po trzy“. Kredowy papier wydawnictwa świadczy oczywiście, że podjęte zostało jeszcze przed wojną. Tekst zrewidował i ustalił znany historyk, Henryk Mościcki według pierwszej krakowskiej edycji z r. 1880, uzupełniając ją szczegółami z autografu, przechowywanego w archiwum rodzinnem Maryi hr. Szembekowej, oraz brulionu pamiętników, będącego w posiadaniu Leona hr. Szepetyckiego. Tę pełną, krytyczną edycję opatrzył pięknym wstępem Adam Siedlecki, tworząc przenikliwy *essay* o istocie twórczości Fredry. Czy są to pamiętniki w dosłownem słowa znaczeniu? Sam Fredro określił doskonale bezpretensjonalny charakter swej książki. „Nie mam — pisze — innego celu, pletąc trzy po trzy, jak tylko bawić się, niby dziecko wolantem, wspomnieniem lat przeszłych, — przerywać obrazki, których mniej więcej każdy nagromadzi w skarbonce swojej pamięci.“ To przerywanie obrazków odbywa się bez żadnej troski o ład chronologiczny; ot, luźna kominkowa gawęda dawnego żołnierza, snuta ze staropolską swobodą i pogodą. „Ścisłość historyczna“ mało Fredrę pociągała. „Chcąc śpiewać Achilleśa gniew z gubiny, muszę — mówi — zastanowić się pierwszej, czy mam przedstawić nagą prawdę, czyli też, pożyczając jej tła, zasnuć ją kwiatami fantazy.“ Pytania tego jednak nie rozstrzyga Fredro w sposób stanowczy. Poprząstaje na insynuacji, że z prawdą jak z ogniem; grzeje, ale i pali razem.“ Ostrożność taka pozwoliła istotnie wybujać „kwiatom fantazy“, by uczynić z tej książki wspomnień żołnierskich o walkach przy boku Napoleona drogocenny utwór literacki. Włącze-

nie pamiętników do edycji zbiorowej stało się ich więzieniem, jeżeli nie grobem. Przywrócenie im dzisiaj życia samodzielnego przynosi epokę, która wydała Legiony, lekturę pełną czaru, bo łączącą pokolenia w wielbieniu najznamienniejszych cech rasy. Jak zauważył Siedlecki, wspomnienia wojskowe zajmują trzy czwarte tekstu, chociaż tylko sześć lat młodzieńczych trwała wojaczka Fredry. Wszystko późniejsze wydało mu się „niezbyt ważne, szare i jałowe.“ Jak większość ludzi swojego czasu, zachował usposobienie, charakter i wokację Polaka pospolitego ruszenia. Albo na koniu z garścią w ręku, albo na roli — czekać nowej potrzeby. Smutek jego istnienia polegał

na tem, że wraz z całym łańcem zachowawczego społeczeństwa — w nową potrzebę już nie wierzył. Z cierpienia nad tem rodziło się znowu ukochanie tego, co było, tej „wojaczki błogosławionej“. Anegdotalizm przygód wojennych, podany z nieporównanym wdziękiem uczyni „Trzy po trzy“ niewątpliwie jedną z najpopularniejszych opowieści. I będzie to jeszcze książka zupełnie nowa, jak wiele pięknych dzieł przeszłości, których nie dopuściliśmy w swoim czasie do życia...

JAN LORENTOWICZ.

MISCELLANEA.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu Z. F. w P. Nie zdziwił nas wcale list Pana, na który wbrew życzeniu Pańskiemu wolimy odpowiedzieć publicznie. Na salce Bazarowej znalazła się może prócz Pana jeszcze jakaś odoobniona dusza, co umiała odczuć recytację Laury Konopnickiej-Pytliskiej. I miał Pan sposobność ujrzeć, jak to między Szułką a pewnym „gatunkiem“ krytyków może wyrosnąć szklany mur, który przebić nie każdej głowie jest danem.

Zastanowić się warto, na czym polega różnica między RECYTACJĄ a DEKLAMACJĄ. Deklamator (czy to w klasycznym dramacie czy to na estradzie) przemawia do duszy głosem, maską i gestem. On wciela się w postać danego utworu, przestawia się w drugiego człowieka i oddziałuje na słuchacza po przeżyciu dusze bohatera. Czyli: nie mówi za siebie, lecz za istotę inną, której ustrój psychiczny wraz z postacią zewnętrzną zapożyczył w takiej formie, w jakiej ją w jego duszy stworzył własny jego talent. Recytator zawsze i wszędzie pozostaje sobą; przemawia głosem, maską i gestem swej własnej duszy i odtwarza projekcję, jaką na jego duszę rzucił czytany utwór.

W życiu naszym ostatek między czytelnikiem a książką jest rażąco wielki. Czytając „po cichu“ utwór poetyczny (wiemyśm czy prozą pisany) tracimy najpiękniejsze odcienia barwy i siły naszego języka — czytając na głos, zatracamy piękno języka jeszcze bardziej. Winą jest systemu wychowawczego, jeżeli najgłębszy twór ducha ludzkiego czytamy tak samo, jak się czyta gazetę; jeżeli zaczynając czytać, włączamy się z jakimś przymusem w ciasne jarzmo szablonu i mówimy głosem własnym, lecz jakimś szkolarskim, przeraźliwie monotonyjnym — który nam dyktuje karygodna a tak typowa dla przedmiotów mechaniczność. Dlaczego w mowie potocznej umiemy rozwinać względnie bogatą skalę dźwięków i językowych — a skoro wypadnie przeczytać jedno zdanie, nadajemy głosowi ton będący wyrazem... bezduszości, jałowości, ziejacej pustki!

Recytator-artysta czyta swoim własnym, „powszednim“ głosem, w którym niema śladu szablonu, pozy, sztuczności.

Staje na estradzie jako człowiek, bez szminki zewnętrznej i wewnętrznej — i czyta — nie deklamuje! — czyta głosem naturalnym, bez tenich efektów brzmieniowych i mimicznych. A gdy czyta o tańczonym w karczmie oberku, to wał w istocie podkówek o podłogę, ifrują w zawrotnym młyńcu kraśne wstążki, spoczone twarde dlonie krzepko trzymają w pasie Jagny i Marysie. A kiedy rozbrzmi polonez, to w pary idą barwne ulany i butne magnaty, wstydliwe wojewodzianki i wyniosłe kasztelanowe — nie stępiele szkielety naprędcy w koronki i karmazyny wtłoczone.

Recytator operuje środkami znacznie prostszymi i pierwotniejszymi od środków deklamatora. Środkiem niemal jedynym jest mu głębia uczucia. Stąd trudniej znaleźć mu poklask publiczny, bo im głębiej w duszy jego zrodziło się uczucie, im elementarniej ono się ujawnia — tem łatwiej zaślizgnie się po duszy żadnej efektów i sensacji.

Zupełnie zatem słusznie Szanowny Pan zauważył, że właśnie czytanie z książki jest koniecznym warunkiem recytacji. Popisać się pamięcią może każda pensjonarka. Tu chodzi o stworzenie najściślejszego łącznika między autorem utworu a duszą słuchacza. Łącznik ten stwarza dusza recytatora, kładąc się pomostem między poetą a czytelnikiem.

Wieczorów takich, jak „Tańce polskie“ w starej sali Bazarowej, życzymy sobie w przyszłości jak najwięcej.

„Doboszowi“ w T. Odpowiedzią niniejszą pragniemy oświecić Pani dalszych trudów poetyckich jako też krytycznych i radzimy więcej czytać niż pisać, a w rozważaniach swoich zachować jednako krytyczną miarę w stosunku do własnych prób jak do poezyi drukowanych w „Zdroju“. Niezrozumienie utworu nie może być probierzem krytyki, a mniej jeszcze szukanie w poezyi wszystkiego prócz — poezyi.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościelanki. — Przedstawiciel redakcyi na Austro-Węgry:

Prof. Jakób Geazwind, Wiedeń. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja“ w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja“ Poznań — Posen.

Odbito w tłoczni „Prasy“ w Poznaniu.

„Ostoja“ Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, plac Wilhelmowski 17

Przybyszewskiego: Szlakiem duszy polskiej wyczerpane — Nowy nakład ukaże się w końcu maja

Chrzanowskiego: Z wybrzeża i o wybrzeżu na wyczerpaniu — Cena mk. 2

W. Gomulickiego: Pamiątki Kościuszkowskie na wyczerpaniu — Cena mk. 4.80

Poleca się:

KASPROWICZA:	Sita	5.20
NOWACZYŃSKIEGO:	Pałaski w Ameryce	6.50
TYCA:	Facecje z dawnej Polski	3.60
SZYDELSKIEGO:	Kult ogniska domowego i przodków	1. —
KONCZYŃSKIEGO:	Raj odzyskany	5.40
PERZYŃSKIEGO:	Opowieści niezwykle	10. —

Skład główny na Król. Polskie w Warszawie Gebethner & Wolff.

Skład główny na Galicyę w Krakowie Gebethner i Spółka.

Stare

wina węgierskie

szlachetne krescencje magnackie i nadworne
w 1/2 butelkach i w 1/2 gąsiorkach.

- | | | | | |
|-----|---------|------|---------|---------------------|
| 1) | rocznik | 1848 | nr. 20. | Słodki Tokaj |
| 2) | " | 1863 | " 17. | Stary Tokaj nadw. |
| 3) | " | 1866 | " 18. | Słodkawy Tokaj |
| 4) | " | 1868 | 20a | Lekki słodki Tokaj. |
| 5) | " | 1876 | " 3. | Stary Tokaj nadw. |
| 6) | " | 1876 | " 14. | Stary Tokaj nadw. |
| 7) | " | 1880 | " 22. | Stary lekki Tokaj |
| 8) | " | 1883 | " 19. | Stary Tokaj |
| 9) | " | 1889 | " 8. | Stary Tokaj. |
| 10) | " | 1901 | " 10. | Stary lekki Tokaj |
| 11) | " | — | " 4. | Stary słodki Tokaj |

B. Kasproicz
w Gnieźnie.

L'Eroica

Dir. E. Cozzani

La Polonia

Wydanie wytwornie ilustrowane i barwnymi drzeworytami przyozdobione.

Cena 25 mk.

Do nabycia w „Ostol.“ Poznań, plac Wilhelmowski 17.

S. KAŁAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Koźnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Koźnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

DRUKARNIA „PRACY“

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

PIEKARY 21

W POZNANIU

PIEKARY 21

POLECA SIĘ DO WYKONYWANIA

WSZELKICH PRAC DRUKARSKICH

GUSTOWNIE, SZYBKO I TANIO

TELEFON 3097

TELEFON 3097

Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktoryi 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Największy i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

